

Rocznik II. Kwiecień 1900.
Zeszyt IV.

TREŚĆ

Strejk górników

S. Haecker.

Socjalizm w Zaborze Pruskim

St. Os...arz.

Filozofia Haeckla

W. Feldman.

**Kto zrobi rewolucję poli-
tyczną w Rosji?**

Janusz Trąbczyński.

Piosenkarze motłochu

Stanisław Gierszyński.

Luźne kartki

List ze Lwowa (*x*).

List z Warszawy (*n. i.*)

List z Paryża (*ign. s.*)

Przegląd teatralny.

Sprawozdania.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK

SPOŁECZNO-LITERACKI

KRAKÓW 1900

Redakcja i Administracja: ulica Sławkowska
Skład główny we Lwowie: Księgarnia Polaka
(Maryacki). — W Przemyślu: Księgarnia O. Bł
W Stanisławowie: Księgarnia Doboszyński
W Poznaniu: Księgarnia A. Cybulskiego. —
runiu: Księgarnia K. Zabłockiego. —

Adres Redakcyi i Administracyi:
Kraków, Sławkowska 26, II piętro.

Krytyka

miesięcznik społeczno-literacki

wychodzi w Krakowie z dniem pierwszym każdego miesiąca
w objętości 3—4 arkuszy druku.

Warunki przedpłaty:

łącznie z przesyłką pocztową.

	W Austrii	Zagranicą
Rocznie	5.— zlr. (10.— kor.)	6.— zlr. (12.— kor.)
Półrocznie	2.50 „ (5.— „)	3.— „ (6.— „)
Kwartalnie	1.25 „ (2.50 „)	1.50 „ (3.— „)

Zeszyt pojedynczy 50 ct. (1 kor.)

~~~~~  
Stowarzyszenia robotnicze i czytelnie ludowe prenumerować  
mogą „KRYTYKĘ“ w administracyi pisma za pół ceny.  
~~~~~

Prenumeratorzy nabywać mogą w administracyi za pół ceny
następujące dzieła:

Z. WALCZEWSKI: Zagadnienia socjalizmu — zamiast 2 kor.
40 hal. za 1 kor. 20 hal. — oraz

J. Maskoff: „**Tamten**“ zamiast 2 kor. za 1 kor.

**Komplety rocznika I. „Krytyki“ dla pre-
numeratorów 4 kor., dla nieprenumer. 6 kor.**

Patrz str. 3 okładki.



S. HAECKER.

STREJK GÓRNIKÓW.

Olbrzymia walka górników, której ostatni akt rozegrał się przed niewielu dniami, górowała w pierwszych trzech miesiącach bieżącego roku nad całem życiem publicznem w Austrii. Wobec tych tytanicznych zapasów zmalowały i zbladły wszystkie zaściankowe zatargi i spory sąsiedzkie, które w tem państwie rozrosły się w ostatnich latach jak chwasty, przygłuszając wszelkie rozwojowe dążności. Strejk górników zepchnął je na chwilę z widowni i pochłonął całą myśl społeczeństwa, które dotąd nie wielką wagę zwykło było przywiązywać do walk społecznych, nie rozumiało ich i nie starało się nawet odgadnąć ich znaczenia. Pod tym względem wywołał strejk górników zasadniczy przewrót. Ale nietylko jego oddziaływanie na opinię publiczną — już sam jego przebieg, jego istota i skutki zrobiły zeń fakt historyczny, który niezatarte ślady pozostawi na dalszym rozwoju polityki społecznej w Austrii i polityki narodowej w Galicyi.

Trudno dziś już pisać historję tego strejku, ale ze stanowiska obiektywnego dadzą się już teraz skreślić geneza i przebieg tej walki, jakoteż zestawić ogólne konsekwencje, jakie z niej wyciągnąć należy. A da się to uskutecznić dlatego, że żadna może dotąd walka społeczna nie była prowadzona z obu stron z takim aparatem naukowym, żadnej nie towarzyszyła tak wyczerpująca i zasadnicza dyskusja oparta na tak bogatym materiale dat i cyfr. Nietylko

ekonomiczno-polityczna strona tej walki, lecz zarówno i ideowa stawiają ją wysoko ponad powszednie tego rodzaju zjawiska.

* * *

Od kilku lat dawało się już uczywać głuche wrzenie wśród górników. W styczniu b. r. nastąpił żywiołowy wybuch. Przyczyny jego tkwią w ekonomicznym rozwoju przemysłu węglarskiego ostatniego dziesięciolecia. Produkcya węgla wzrastała nieustannie. W r. 1897 było w Czechach, na Morawach i na Śląsku

przedsiębiorstw kopalnianych	w których pracowa- wało górników	wydobyty węgiel w cetnarach metr.	wartość w ko- ronach
węgla kamiennego	260 85.000	96 milionów	73 miliony
„ brunatnego	650 30.000	170 „	70 „
razem	910 115.000	266 milionów	143 miliony

Ogólna produkcja węgla kamiennego wynosiła

w Czechach	49.400.000	cetnarów metr.	wart. 28 milionów kor.
na Morawach	14.200.000	„ „	12 „ „
na Śląsku	42.000.000	„ „	33 „ „
razem	96.600.000	cetnarów metr.	wart. 73 milionów kor.

Równocześnie wzrastał z ogromną szybkością przemysł fabryczny w całej Europie: w Rosyi, gdzie kolej syberyjska stworzyła nową arterję gospodarczego rozwoju, w Niemczech, we Francyi, w Anglii, a nawet w Austrii przemysł zaczął się wygrzebywać z długoletniego zastoju. Temsamem wzrastało i zapotrzebowanie węgla, któremu produkcja górnicza z wielką trudnością mogła nadążyć. Ta dysproporcya między podażą a popytem węgla na rynku światowym spowodowała znaczną podwyżkę cen jego. W ostatnich trzech kwartałach 1899 r. wzrosła cena węgla ostrawskiego o 120/0.

W tym samym czasie koszta produkcji węgla nie tylko nie zwiększyły się proporcjonalnie, lecz nawet zmniejszyły się stosunkowo. Górnictwo różni się co do warunków produkcji zasadniczo od przemysłu fabrycznego. Maszyny spełniają tam jedynie funkcję pomocniczą (wjazd i wyjazd górników, wydobywanie na powierzchnię już wykopanego węgla, wentylacja, pompowanie wody); właściwa produkcja, t. j. kopanie węgla, polega na pracy ręcznej. Kapitał stały, t. j. inwestycje, wpływają więc bardzo nieznacznie na koszta produkcji. Zyski przedsiębiorców (*Profitrate*) określają się tu prawie wyłącznie płacami i czasem pracy górników, tembar-

dziej, że właściciele kopalń tylko pod naciskiem nieuchronnej konieczności skłonni są do inwestycji. Płace zaś górników nie wzrastały wcale lub bardzo nieznacznie, a częstokroć zmniejszały się mimo wzrostu cen węgla, wzrastała zatem tylko ta część wytworzona przez nich wartości, która wpływała do kieszeni właścicieli kopalń.

W rewirze węgla brunatnego Czech północnych wzrastała produktywność pracy górników w następujący sposób:

W r. 1875	wynosiła	roczna prod.	jednego	górnika	3453	centn. metr.
" " 1880	"	"	"	"	4172	" "
" " 1885	"	"	"	"	4554	" "
" " 1890	"	"	"	"	5220	" "
" " 1897	"	"	"	"	5660	" "

Jak wobec tego wygląda rozwój płac roboczych? Przypatrzmy się następującej tabelce:

Rok	Roczna produkcja jednego robotnika. Centn. metr.	Przeciętna cena węgla brunatnego w Czechach. centów	wartość rocznej produkcji jednego górnika złr.	roczny zarobek górnika złr.	różnica między wartością prod. a płacą roboczą złr.
1890	5220	15·01	784	486	298
1891	5042	16·09	811	469	342
1892	5068	15·71	796	416	380
1893	5220	17·58	918	440	478
1894	5300	15·73	834	446	388
1895	5456	16·38	884	452	432
1896	5387	16·60	891	470	421
1897	5666	16·87	956	475	481

Z tej tabelki wynika, że w tym czasie wartość rocznej produkcji jednego górnika wzrosła o 172 złr., natomiast roczna płaca jego spadła o 11 złr. Różnica między wartością jego produkcji a jego płacą roboczą wzrosła o 183 złr.

Zupełnie tak samo, a nawet jeszcze drastyczniej ukształtowały się stosunki ekonomiczne w zagłębiu ostrawsko-karwińskim, co do którego jednak brak jest oficjalnych i dokładnych cyfr.

Nic dziwnego więc, że gdy Rada dla statystyki pracy przy ministerstwie handlu postanowiła zbadać stosunki w górnictwie i ogłosić ich statystykę, związek właścicieli kopalń pod przewodnictwem hr. Henryka Larischa odmówił wręcz udzielenia jakichkolwiek cyfr, dat i wyjaśnień, motywując tę odmowę cyniczną uwagą,

że opublikowanie urzędowej statystyki stosunków w górnictwie stanowiłoby niebezpieczny materiał agitacyjny i zwiększyłoby niezadowolenie wśród mas górników. Dlatego postanowili właściciele kopalń rzucić na te stosunki tajemniczą zasłonę.

Ale stan faktyczny mimo braku oficjalnej statystyki nie dał się zataić przed górnikami, którzy są przecież *maxima pars* produkcji górniczej, mogą ocenić w przybliżeniu jej wartość, a swoje własne położenie znają chyba najlepiej.

Postaramy się tu pokrótce dać obraz położenia górników zagłębia ostrawsko karwińskiego, które nas najbardziej obchodzi, bo pracują tu przeważnie górnicy polscy; stosunki górników w innych rewirach nie wiele się różnią od ostrawsko-karwińskich. Zresztą punkt ciężkości całego strejku spoczywał w tem zagłębiu, którem się też w niniejszym szkicu przeważnie zajmować będziemy.

W śląsko-morawskim zagłębiu węglowem rozsiane są kopalnie należące do kolei północnej, br. Rotschilda, Guttmana, arcyksięcia Fryderyka, hr. Wilczka, hr. Larischa, ks. Salma, Zwierzyny, i dwóch towarzystw górniczych. Pracuje tu 37.500 górników przeważnie narodowości polskiej, rekrutujących się już to z ludności miejscowej, już to z napływowej, t. j. chłopów z Galicyi zachodniej. Mały tylko procent górników i to przeważnie w samej Morawskiej Ostrawie jest narodowości czeskiej. Pracują oni w dwóch zmianach (szychtach) po 10 godzin na dobę. Zmiana liczy się od chwili, w której górnik wstępuje na szalę, aby się spuścić do szybu, aż do chwili, w której górnik po wyjeździe z szybu opuszcza szalę, czyli do szychty wlicza się wjazd i wyjazd. Obecna ustawa górnicza ogranicza szychtę do 12 godzin z tem jednak zastrzeżeniem, że rzeczywista praca w podziemiu nie może trwać dłużej, niż 10 godzin. Przez strejk w r. 1896 wywalczyli sobie górnicy ostrawsko-karwińscy 10-godzinną szychtę. Jeżeli się jednak zważy, że nie wszyscy górnicy mogą naraz wjeżdżać i wyjeżdżać i że tylko mała część górników mieszka w koloniach zbudowanych w pobliżu szybów, większość zaś musi przebyć codziennie kilkomilową drogę z domu do kopalni i z kopalni do domu, to okaże się, że dzień roboczy trwa tu w rzeczywistości 14—15 godzin dziennie.

Płaca jest prawie wyłącznie akordowa; płaca dzienna, t. zw. „pańskie szychty“, należy do rzadkości.

Wedle obliczenia zrobionego na podstawie sprawozdania komisji nadzorczej centralnego funduszu rezerwowego kas brackich, wynosił przeciętny zarobek dzienny górnika w zagłębiu ostrawsko-karwińskim w kopalniach:

IV roku		Ka. Salma (pol. Ostra- wa)	Areyksię- caj Kamery	Guttmana (Orłowa-Ja- sy-Poręba)	Tow. Witko- wickiego	Kolei pół- nocnej	hr. E. Lari- asa spadko- bierów (Pletwald)	Zwierzyny (Pol. Ostra- wa)	hr. Wilezka (Pol. Ostra- wa)	hr. Larissa- Mónieha (Karwina)
1890	złr.	1·15	1·09	1·12	1·19	1·22	0·86	1·04	1·10	1·—
1891	"	1·04	0·92	1·17	1·35	1·10	0·98	1·08	1·43	1·06
1892	"	1·12	1·01	1·26	1·22	1·15	1·04	1·01	1·43	1·05
1893	"	1·07	1·04	*)	1·21	1·11	0·98	1·03	1·37	1·07
1894	"	1·07	1·09	*)	1·22	1·—	1·02	1·08	1·34	1·02
1895	"	1·—	1·13	1·16	1·22	1·19	1·13	1·12	1·24	0·92
1896	"	0·90	1·14	0·92	1·30	1·11	0·95	0·95	1·21	1·13
1897	"	0·83	1·29	0·86	1·25	1·17	1·04	1·19	1·26	1·16
1898	"	1·—	1·30	1·23	1·30	1·23	1·01	1·18	1·30	1·08

Przeciętny zarobek jest tu obliczony z płac wszystkich członków kas brackich, a więc także nadkopaczy, sztygarów, nadsztygarów, majstrów maszynowych, dozorców itd. Gdyby nie brano w rachubę tej kategorii o wiele lepiej płatnych nadzorców i kierowników, to okazałoby się, że przeciętny zarobek górnika jest jeszcze znacznie niższy.

Sposób obliczania akordów jest bardzo dowolny i daje zarządom kopalń możliwość arbitralnej oceny na niekorzyść robotnika, który tego obliczenia nie jest zdolny skontrolować. Górnik nigdy przed wypłatą nie wie, ile zarobił; nigdy nie wie, ile mu się należy. Przy wypłacie następują liczne strącania: za światło, na kasę bracką, grzywny, zaliczka itd., tak że górnik otrzymuje częstokroć za ledwie kilkanaście lub kilka koron w gotówce. Kto miał sposobność przeglądania kartek wypłaty, ten wyczytał z nich całe dzieje nędzy tych podziemnych pracowników.

Wypłaty odbywają się miesięcznie. W roku 1896 wywalczyli sobie górnicy zaliczkę w połowie miesiąca. Miesięczne wypłaty zmuszają górników do zadłużania się u kupców, którym muszą więc płacić za najniezbędniejsze do życia artykuły ceny, jakie ci im poddyktują.

Jak już wspomnieliśmy, część górników mieszka w koloniach, należących do kopalń. W domkach tych górnik wraz z rodziną zajmuje małą, z konieczności brudną izdebkę, do której czasem dodana jest ciemna kuchenka bez podłogi. Górnicy nieżonaci mieszkają w koszarach, po kilkudziesięciu w jednej brudnej izbie, gdzie śpią obok siebie na tapczanach. Zupełny tu brak kanalizacji i dobrej wody do picia. Te owoce „filantropii“ baronów węglowych nie

*) Brak danych.

mogą zadowolnić nawet skromnych wymagań naszych Mazurów, nie przywykłych przecie do zbytniego komfortu.

W całym zagłębiu, jak wszędzie w centrach przemysłowych, panuje ogromna drożyzna. Każdy górnik jest więc wiecznie zadłużony. Podczas gdy górnik angielski i jego rodzina jedzą trzy razy dziennie mięso, to górnik śląski zaledwie sam jada raz na dzień mały kawałek mięsa, rodzina jego żywi się prawie wyłącznie ziemniakami i kapustą, które i dla niego większą część pożywienia stanowią. Do kopalni zabiera ze sobą suchy chleb, rzadko kiedy kawałek słoniny.

Nic dziwnego, że w takich warunkach szerzy się wśród górników alkoholizm. Nie polega on tu na nadmiernym używaniu wódki, lecz na tem, że wycieńczony nadmierną pracą podziemną organizm górnika nawet małej ilości alkoholu w normalny sposób znieść nie zdoła.

Praca górnika należy do najniebezpieczniejszych dla zdrowia i życia. Połowę niemal życia spędza górnik w podziemiach pozbawionych światła słonecznego, pełnych trujących wyziewów. Na pierwszy rzut oka można odróżnić wychudłego, pożółkłego, przedwcześnie zgrzybiałego górnika od otyłego, rumianego, tryskającego zdrowiem rolnika śląskiego. Górnik rzadko kiedy przekracza wiek męski. Statystyka wykazuje ogromną śmiertelność wśród górników i ich dzieci, Zwiększają jeszcze tę śmiertelność katastrofy.

W zapadłych chodnikach podziemnych czyha na górnika złośliwa śmierć; wyziera ze wszystkich kątów szybu, grozi zasypaniem, uduszeniem, eksplozyą, zalewem, pożarem. Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się niemal codziennie. Katastrofy masowe powracają periodycznie. Na cmentarzu karwińskim cały szereg wspólnych grobów, kryjących nieraz po paręset ofiar katastrof kopalnianych, znaczy dzieje tej tytanicznej walki człowieka z przyrodą. Środki ochronne są mniej niż niedostateczne, albowiem dla właścicieli kopalń życie górnika jest tańsze od kosztownych inwestycji... Wedle statystyk kas brackich wynosiła w latach 1888—1896 w zagłębiu ostrawsko-karwińskim liczba chorób wywołanych pracą w górnictwie 17.825, które trwały razem 256.305 dni, 46 robotników stało się kalekami niezdolnymi do pracy, a 707 wypadków zakończyło się śmiercią. W r. 1897 było w kopalniach węgla kamiennego 7 razy więcej, w kopalniach węgla brunatnego 14 razy więcej śmiertelnych okaleczeń, niż przy produkcji materiałów wybuchowych, zapalek i broni palnej.

*

*

*

W tych warunkach życia górników tkwi przyczyna niezadowolenia, które spotęgowane widokiem szalonego wzrostu zysków właścicieli kopalń doprowadziło do wybuchu strejku. Czy żądania górników były zbyt wygórowane, można osądzić z przytoczonych wyżej cyfer. Żądali oni mianowicie: 1) ośmiogodzinnej szycy; 2) minimalnej zapłaty dla kopacza 2 zlr., dla wozacza 1 zlr. 50 ct., dla robotnika na powierzchni 1 zlr. 20 et., dla taczniaka 90 ct., dla dziewczyny 70 ct. dziennie; 3) wypłaty co tydzień; 4) bezpłatnej oliwy do lampek; 5. bezpłatnego węgla deputatowego, t. j. przeznaczonego dla domowego użytku górników.

Już w ubiegłym roku kilkakrotnie przedkładali górnicy swe żądania właścicielom kopalń, którzy jednakowoż nie dali na nie żadnej odpowiedzi. Z nowym rokiem przyszło do wybuchu: zastrejkowali górnicy w kilku kopalniach Styryi i w dwóch kopalniach ostrawskich. W Styryi, gdzie już od dawna warunki pracy i płacy są dla górników daleko korzystniejsze niż w rewirach północnych, właściciele kopalń zgodzili się od razu na żądanie górników. Inaczej rzecz się miała w rewirze ostrawsko-karwińskim. Tu właściciele kopalń zgodzili się na bezpłatną oliwę do lampek, węgiel deputatowy i na 5 procentowe podwyższenie płacy. Partya socjalno-demokratyczna użyła całego swojego wpływu, aby skłonić górników do przyjęcia tych ustępstw, bo przewidywano, że wobec słabego stanu organizacyi górniczej i braku środków pieniężnych, strejk niema widoków powodzenia. Ale masa górników zbuntowała się. Nie liczyła się ona ze swemi siłami i środkami. Dla niej miarodajnem było to, że wobec olbrzymich zysków właścicieli kopalń, ich ustępstwa były nic nie znaczące, że 5 procentowe podwyższenie płac było wprost iluzoryczne wobec braku jakichkolwiek ustalonych zarobków, do którychby owe 5 procent doliczyć należało, że wreszcie nie uwzględniono ich najważniejszego żądania: 8 godzinnego czasu pracy. Pod naporem ogółu górników zagłębia ostrawsko-karwińskiego uchwalili ich mężowie zaufania na konferencyi w Łazach dnia 17 stycznia b. r. 73 głosami przeciwko 6 strejk generalny. Na uchwałę tę wpłynął również fakt, że także i w Czechach zostało proklamowane powszechne bezrobocie górników.

Wtedy nie pozostawało partyi socjalno-demokratycznej nic innego, jak dolożyć wszelkich starań, aby ta walka wywołana wprawdzie wbrew jej woli, nie była bezowocną i kosztowała jak najmniej ofiar. W tym celu dała strejkowi organizacyę, kierowników, agitatorów, adwokatów, rozwinęła silną agitacyę w społeczeństwie dla uzyskania środków na rzecz strejkujących, założyła dla

górników na czas strejku cztery pisma codzienne, z tych dwa dla zagłębia ostrawsko-karwińskiego: czeski *Na zdar* i polską *Równość*. Kierownictwo strejku w Morawskiej Ostrawie objął Dr Benno Karpeles, redaktor wpływowego wiedeńskiego przeglądu socjalno-politycznego, znakomity znawca stosunków zagłębia, autor cennej książki „*die Arbeiter des Mährisch-schlesischen Kohlenbeckens*.” Kierował on strejkiem z niezwykłą roztropnością, w czym dopomagali mu dzielnie posłowie Cingr i Berner, długoletni redaktor *Równości* Tadeusz Reger, polska inteligencja miejscowa, oraz cały szereg socjalistów czeskich i polskich, przysłanych z Berna i z Krakowa.

To też strejk miał przebieg nad wszelkie oczekiwanie spokojny. Mimo ogromnej ilości wojska i żandarmeryi, górnicy nie dali się sprowokować do żadnych gwałtów. Obeszło się więc bez strzelania do strejkujących, jak to było w r. 1894. Mimo prześladowań ze strony władz, mimo roznamiętnienia, w jakim się znajdowała 60 tysięczna masa robotnicza, nie przyszło nigdzie do poważniejszych wykroczeń. Tak wzorowo prowadzonego masowego strejku nie było jeszcze w Austrii.

Górników ożywiała niezachwiana wiara w zwycięstwo. Podsycała tę wiarę sympatya ze strony całego społeczeństwa, oraz żywe zajęcie się rządu strejkiem.

W pierwszych tygodniach strejku zaszła zmiana gabinetu. Nowy prezydent ministrów, Dr. Koerber przyszedł z misją uspakajania wszelkich waśni w państwie. Uważał się więc również za powołanego do załagodzenia tej społecznej walki, która groziła zatamowaniem całego przemysłu w Austrii. Nowy minister sprawiedliwości, br. Spens-Booden, który zeszłego roku, jako namiestnik morawski, wielce się zasłużył około pomyślnego zakończenia strejku tkaczy berneńskich, interweniował osobiście w Morawskiej Ostrawie. Misya jego spełzła na niczem.

Zwołano urzędy rozjemcze. Z początku właściciele kopalń odmawiali w nich udziału, a nawet, gdy się już zdecydowali do pertraktacyi w urzędach rozjemczych, to rozbijały się one o ich upór. Dla zagłębia śląsko-morawskiego zwołano urząd rozjemczy pod przewodnictwem posła br. D'Elwerta do Cieszyna. Tu reprezentanci gwarectw poczynili górnikom jeszcze kilka nowych koncesyi, z których najważniejszą była 7-procentowa podwyżka płac, tak że całe podwyższenie zarobków miało wynosić 12 procent. Ale o skróceniu czasu pracy i o minimalnej zapłacie ani słyszeć chcieli, twierdząc, że te reformy technicznie nie dadzą się przeprowadzić. Gór-

nicy rzeczowo zbijali te argumenty i oświadczyli, że od swych żądań nie odstąpią. Urząd rozjemczy rozszedł się bez żadnego rezultatu.

Po pierwszej gorączce entuzjazmu, górnicy przestali już wierzyć, że sam strejk zmusi baronów węglowych do ustępstw, wierzyli jednak, że zmusi ich do tego opinia publiczna, że zmusi ich do tego nacisk ze strony przemysłowców, których brak węgla zaczął zniewalać do zamykania fabryk. Ale największe nadzieje pokładali górnicy w parlamencie, który się zebrał dnia 22 lutego b. r.

Parlament istotnie zajął się bezzwłocznie sprawą górników i prawie jednomyślnie stanął po ich stronie. Tylko jedyny Dr. Dehmel, burmistrz i poseł miasta Cieszyna, adwokat hrabiego Larischa, znany, jako zaciekły wróg Polaków, ośmielił się wystąpić jawnie przeciwko górnikom. Wystąpienie Dra Dehmela ma głębsze, symptomatyczne znaczenie: stwierdza ono fakt, że walka górników na Śląsku miała wybitne cechy walki polskiego proletariatu z niemieckim kapitałem. Parlament oddał sprawę komisji socjalno-politycznej, która urządziła na prędcę ankietę, nie przedłożyła jednak parlamentowi przed jego odroczeniem konkretnych wniosków i tylko w ostatniej chwili uchwaliła przyjąć jako zasadę skrócenie czasu pracy do 9 godzin. Dopiero w sesji powielkanocnej ma się parlament znowu zająć sprawą skrócenia czasu pracy w kopalniach.

Z chwilą odroczenia parlamentu znikła ostatnia nadzieja rychłego zakończenia strejku zwycięstwem górników. Dziesięć tygodni strejku, mimo ogromnej ofiarności ze strony społeczeństwa, mimo poświęcenia się górników, którzy zadawali sobie tygodniową zapomogą w wysokości 1 korony, wyczerpały wszelkie fundusze. Partya socjalno-demokratyczna przyszła do przekonania, że dalsze podtrzymywanie strejku byłoby bezcelowe, że nie należy dziesiątek tysięcy narażać dłużej na walkę i ofiary, gdy niema widoków rychłego zwycięstwa, że trzeba się na razie zadowolnić tem, co się już uzyskało, t. j. ustępstwami właścicieli kopalń, poczynionemi jeszcze w urzędzie rozjemczym, obietnicą rządu, iż w sesji powielkanocnej parlament załatwi sprawę skrócenia czasu pracy w górnictwie i uchwałą komisji socjalno-politycznej o 9-godzinnej szychcie.

Większość górników uznała, że inaczej postąpić nie można. Tylko w samej Morawskiej Ostrawie między robotnikami czeskimi natrafiono na chwilowy opór. Odżył tu duch anarchistyczny, wytrzebiony długoletnią pracą organizacyjną z pośród robotników, a pokutujący jeszcze jedynie między czeskimi górnikiemami. Po tym

żywiolowym proteście przeciwko zakończeniu strejku przyszła jednak i tu refleksja i ogół górników powrócił do pracy.

Tak zakończyła się ta 10-tygodniowa imponująca walka, prowadzona wzorowo, z zastosowaniem wszelkich nabytków nowoczesnej wiedzy społecznej i organizacji.

*

*

*

Jeżeli nazwalibyśmy ten strejk faktem historycznego znaczenia, to dlatego, że wywołał on stanowczy przełom w dotychczasowej polityce socjalnej i w utartych pojęciach.

Po raz pierwszy rząd austriacki zrobił próbę zerwania z biurokratyzmem w dziedzinie społecznej, po raz pierwszy nie z kulami i bagnietami przyszedł do strejkujących robotników, lecz z obiektywnym uznaniem ich praw i żądań. Po raz pierwszy parlament zastanowił się nad kwestyą społeczną i wkroczył na tory nowoczesne, za przykładem sejmu bawarskiego, który na kilka dni przed tem uchwalił wprowadzenie 8-godzinnej szychty w kopalniach bawarskich.

Po raz pierwszy społeczeństwo galicyjskie zwróciło uwagę na te polskie masy robotnicze na Śląsku i nauczyło się mniej idyllicznie pojmować stosunki śląskie. Poznało, że walka narodowościowa na Śląsku ma całkiem konkretne cechy walki polskiego ludu z niemieckim kapitałem i że obowiązek patrioty polskiego wobec zagrożonych kresów nie wyczerpuje się datkami na gimnazjum polskie w Cieszynie, lecz że wymaga energicznego poparcia ruchu polskiego ludu na Śląsku. Przekonano się u nas, że tylko w ten sposób można dążyć do wzmocnienia i oswobodzenia polskiego żywiołu w tym przemysłowym kraju, niepodobnym zgoła do Galicyi.

Już sam strejk miał dla sprawy polskiej ogromne znaczenie. W masy robotnicze wsiąknęło podczas strejku tyle drukowanego i żywego polskiego słowa, iż śmiało można powiedzieć, że polski górnik na Śląsku został zabezpieczony przeciwko czechizacyi, która już bezpowrotnie pochłonęła Śląsk opawski i zagrażała poważnie księstwu Cieszyńskiemu.



ST. OS...ARZ.

SOCYALIZM W ZABORZE PRUSKIM.

I.

Wówczas kiedy w Kongresówce i w Galicyi ruch socjalistyczny coraz to nowe odnosi tryumfy, zdobywając sobie powoli miejsce poważne w życiu narodowym, socjalizm w zaborze pruskim dotychczas jest jeszcze zjawiskiem słabem i nikłym. Nie tylko w zacofanem ekonomicznie Poznańskim, ale i na Ślązku, stanowiącym bodaj najbardziej przemysłowy kraj Polski, ruch socjalistyczny nie wszedł jeszcze na drogę pewnego, trwałego i normalnego rozwoju.

Przyczyna tego tkwi w dwóch czynnikach: w niesłychanym ucisku polityczno-narodowym i w nader niskim poziomie kulturalnym społeczeństwa. Ucisk polityczno-narodowy zaciera antagonizmy klasowe w łonie społeczeństwa polskiego i łączy we wspólnej walce z germanizacją żywiły wrogie sobie społecznie. Nizki poziom cywilizacyjny nie sprzyja wyłanianiu się z kół inteligentnych jednostek, któreby z pobudek idealnych szły pracować dla ludu w imię interesów tego ludu.

Przypomnijmy sobie, jaką olbrzymią rolę odegrała w dwóch innych zaborach młodzież uniwersytecka w dobie powstawaniu ruchu socjalistycznego... W Poznańskim nie było dotychczas faktu, ażeby studenci szli do robotników, ofiarując im pomoc, ułatwiając im zdobycie uświadomienia społecznego. Na Ślązku tem bardziej. Kiedy z pomiędzy młodzieży poznańskiej wychodzili inteligenci niezależni: lekarze, adwokaci i t. d., to ze Ślązka do niedawna na uniwersytetach nie było nikogo oprócz teologów, sposobiących się na księży. Z tych sfer więc nie mógł robotnik polski oczekiwać pomocy i zachęty do walki.

Gnuśniały więc masy robotnicze w ciemnocie, oglupiane przez szkołę germanizatorską i fanatyczny kler, wyzyskiwane przez fabrykantów i tumanione przez zawodowych polityków, którzy mimo hasel „obrony wiary i języka“ nieraz zaprzędawali się rządowi i frymarczyli interesami ludu.

Tylko stykając się z robotnikami niemieckimi, robotnik polski dowiadywał się, że posiada swe odrębne interesa klasowe. Ale ten robotnik niemiecki nie zawsze potrafił porozumieć się z polskim, a często szowinizm i lekceważenie narodowości polskiej ze strony pierwszego zrażały robotnika polskiego na zawsze.

Pomału jednak sam rozwój stosunków społecznych począł robotnikowi polskiemu otwierać oczy. Ci z pomiędzy nich, których poszukiwanie pracy zmusiło udawać się na obczyznę, do wielkich miast przemysłowych, stykali się z potężnym ruchem zawodowym i politycznym socyalnej demokracji niemieckiej i powoli przesiąkali jej poglądami. Z drugiej znów strony partya niemiecka, widząc te coraz tłumniej napływające do centrów przemysłowych rzesze robotników polskich, obniżających płacę, nie mogła nie przedsiębrać jakichś środków ochrony. Agitatorowie niemieccy zbliżają się do tej ludności napływowej, wciągają ją do swych organizacyi i uświadamiają klasowo-politycznie.

Walka wyborcza również zmusiła socyalistów do zwrócenia uwagi na żywioł polski i to nietylko napływający do Niemiec, ale i zaludniający wschodnie obszary państwa. Wysyłano więc agitatorów w Poznańskie, do Prus Zachodnich i na Śląsk, którzy budzili świadomość głównie wśród niemieckiej albo całkiem zniemczonej ludności dzielnic polskich, ale pośrednio oddziaływali i na polaków.

Pomału wśród ludności polskiej wytwarzały się drobne grupki socyalistów, które się stały punktem oparcia dla szerszej agitacyi i propagandy emisaryuszów socyalistycznych z Królestwa, którzy ostatecznie przygotowali grunt do wytworzenia polskiej partyi socyalistycznej zaboru pruskiego.

Aż do r. 1891. agitacya wyborcza socyalistów w Niemczech odbywała się pod kierownictwem zarządu centralnego z Berlina. W r. 1893. system ten uległ zmianie. W każdym obwodzie rejencyjnym ustanowiono samowładny komitet wykonawczy*) i w ten sposób teren działalności socyalistów polskich został rozkawałkowany. Wynikło z tego mnóstwo niedogodności.

Zamiast zwracać się do jednej instancyi — głównego zarządu, socjaliści polscy musieli odnosić się do Wrocławia, Bydgoszczy, Gdańska, Torunia i t. d. Powstały liczne nieporozumienia i poczęły się szerzyć niesnaski między socyalistami polskimi a niemieckimi. Zrozumiano nareszcie, że jedynem wyjściem z tej przykrej sytuacji jest pozostawienie socyalistom polskim zupełnej autonomii w sprawach dotyczących robotników polskich.

Od września r. 1893-go na widownię występuje samodzielna Polska Partya Socyalistyczna, a założona w r. 1891. „Gazeta Robotnicza“ z „organu socyalistów polskich“ przekształca się na „organ Polskiej Partyi Socyalistycznej.“ Zarząd partyjny wraz z orga-

*) Wyjątek stanowiło Poznańskie, przydzielone komitetowi wrocławskiemu.

nem partyi usadowił się w Berlinie, gdyż ze względu na prześladowania i bojkot wszystkiego, co trąciło socjalizmem, w Poznańskim i na Śląsku, ich pobyt w kraju był niemożliwy. Nie pozostawało więc nic innego, jak oddziaływać za pomocą słowa drukowanego i wysyłanych niekiedy do kraju agitatorów. Przebywając w Berlinie, zarząd P. P. S. uważał jednak za główny swój cel szerzenie socjalizmu w Poznańskim i na Śląsku.

Ruch robotniczy w Poznaniu począł się budzić w latach 1877. i 1878. Posiadał on wówczas charakter zawodowy, a brali w nim udział prawie wyłącznie cygarnicy. Odbywały się zgromadzenia, na których występowali mówcy socjalistyczni, a przy wyborach do parlamentu (1878) na polskiego kandydata socjalistycznego — Janiszewskiego — padło 226 głosów.

Z czasów panowania praw wyjątkowych przeciwko socyalistom agitacja prowadzona była głównie przez ludzi, pochodzących z zaboru rosyjskiego. Stanowiło to ogromną niedogodność i pociągało za sobą prześladowania niesłychane. Agitatorowie socjalistyczni latami odsiadali więzienia pruskie, a potem byli wydawani w ręce Rosji, która wysyłała ich na Sybir.

Więzienia poznańskie nie opróżniały się od pierwszego procesu (1881) aż do upadku praw wyjątkowych.

Pomimo tych prześladowań ruch socjalistyczny w Poznaniu szerzy się coraz bardziej; w r. 1890. kandydat socjalistyczny otrzymał 415 głosów, w 1893. zaś — już 1102.

Zdawałoby się, że ruch ten będzie i nadal rozwijać się normalnie, tymczasem tak się nie stało.

Złożył się na to cały szereg przyczyn. Przedewszystkiem brak zdolnych sił agitarorskich wśród Polaków spowodował fakt, że uświadomienie klasowe poczyniło daleko szybsze postępy wśród robotników niemieckich, ci zaś nie umieli się zachować bezstronnie wobec żywiołu polskiego. Wybuchy wreszcie w samym obozie robotniczym i walka narodowościowa znalazła oddźwięk w kołach proletaryatu. Na ten grunt padły nasiona intryg osobistości opanowanych pragnieniem „organicznego wcielenia“ Polski do państw zaborczych i ruchu polskiego do niemieckiego. Na skutek tych intryg liczba prenumeratorów „Gazety Robotniczej“ stopniała bardzo znacznie, a przy ostatnich wyborach 1898. r. kandydat socjalistyczny otrzymał o 500 głosów mniej aniżeli w r. 1893.

Na prowincyi, gdzie przemysł jest jeszcze mniej rozwinięty aniżeli w stolicy, ruch był od samego początku bardzo słaby i rezultaty dorywczej agitacji nieznaczne.

Co do Górnego Ślązka, to partya niemiecka od bardzo dawna zwróciła nań uwagę. Już w latach 1875. a potem w 1877. i 78. spotykamy tam agitatorów socyalistycznych, a w r. 1881. partya niemiecka stawia w kilku okręgach swych kandydatów, ale tylko w Raciborzu uzyskuje 33 głosy.

Od tego czasu socjaliści niemieccy stale stawiają swych kandydatów, ale rezultaty, choć ustawicznie zwiększające się, były wciąż jednak bardzo nikle. Agitatorowie niemieccy nie umieli trafić do przekonań ludu polskiego, zyskiwali więc prawie jedynie głosy niemieckie.

Polscy socyalści zawitali na Górny Ślązk dopiero w r. 1892. Poczęto rozpowszechniać „Gazetę Robotniczą“ i inne wydawnictwa, agitować po mieszkaniach robotników i w szynkowniach. Wkrótce pozyskano dla sprawy garstkę ludzi oddanych, którzy stali się mężami zaufania i kolporterami. To jednak ogromnie zaniepokoiło władze i panujący na Ślązku kler katolicki. Posypały się denuncyacye, aresztowania, rozpoczęło się śledzenie, kto przyjmuje u siebie agitatorów, konfiskowanie najniewinniejszych broszur i t. d.

Na wiosnę r. 1893-go rozpoczęła się agitacya przedwyborcza. Wówczas to po raz pierwszy socjaliści polscy wystawili swoich kandydatów w 6 okręgach (Bytom-Tarnowice, Katowice-Zabrze, Pszczyna-Rybnik, Kluczborek-Wielkie Strzelce i Lublinice-Gliwice). Agitacyę jednak prowadzono poważnie tylko w dwóch pierwszych i do pewnego stopnia w ostatnim okręgu; brakowało bowiem ludzi odpowiednich do agitacyi. Rezultat — 1119 głosów — prześcignął wszelkie oczekiwania, gdyż presya ze strony urzędników i księży była wprost niesłychana. Po wyborach nastąpiły nowe prześladowania i wydalania z pracy, ale teroryzm rządu i kapitalistów nie zdołał już wykorzenić socyalizmu na Górnym Ślązku.

W r. 1894-tym odbywał się w Berlinie międzynarodowy kongres górniczy. Po raz pierwszy wzięli w nim udział delegaci górników polskich z Górnego Ślązka — Prukop i Kawczyk. Ci po powrocie na Ślązk zostali wydaleny z pracy, ale to im nie przeszkodziło zająć się nadzwyczaj energiczną agitacyą pomiędzy towarzyszami pracy.

Poczęły się odbywać bardzo częste i nader liczne zgromadzenia, liczba odbiorców „Gazety Robotniczej“ doszła w przeciągu krótkiego czasu do 700, a w ciągu 4-ech miesięcy rozeszło się polskich broszur za 500 przeszło marek. Do związku górniczego zapisało się 3000 członków i ruch ten rozwijałby się niepowstrzymanie dalej, gdyby nie smutne wypadki w Prusach, gdzie przed zgroma-

dzeniem żandarm zabił kobietę. Zbrodnia żandarma pruskiego wywołała zaburzenia stłumione w brutalny sposób. Na skutek wypadków w tych związek górniczy został rozwiązany, posypały się aresztowania, najenergiczniejsi działacze zostali osadzeni w więzieniach lub wydaleny z miejsc pracy, musieli opuścić kraj rodzinny i ruch tak świetnie rozpoczęty, przycichł na czas dłuższy. Socjaliści polscy nie ustawali w pracy, agitowali pomiędzy górno-ślązakami, wysyłali tam Gazetę Robotniczą i broszury, ale napotykali na każdym kroku tak wielkie przeszkody, że nie udawało się już im wznieść poprzedniego ożywienia.

Zbliżały się wybory do parlamentu w r. 1898.

Centrum na Górnym Śląsku zajęło stanowisko najzupełniej rządowe. W ostatnim tygodniu przed wyborami wszystkie rządowe i konserwatywne gazety poczęły gorąco nawoływać do głosowania na kandydatów centrum wszystkich „wiernych państwu“ wyborców. Lud śląski był głęboko niezadowolony z panującego stanu rzeczy. Walka, jaką wypowiedziało duchowieństwo śląskie „Katolikowi“, musiała wywołać nieklamane oburzenie wśród ludu, dla którego „Katolik“ dotychczas był doradcą i kierownikiem. Lud burzył się przeciwko narzuconym mu gwałtem, wbrew jego woli, kandydatom centrowym i wyczekiwał tylko hasła ze strony „Katolika“, ażeby zwartym szeregiem poprzeć wystawionych przez niego narodowo-polskich kandydatów.

Ale katolików, jak zwykle, stchórzyli i nie zdobyli się na energiczne wystąpienie. Solidarność klerykalna przemogła wszystkie względy narodowe i katolików ustąpili centrowcom-germanizatorom.

Wielka część wyborców poszła pokornie za „Katolikiem“ i postanowiła głosować na kandydatów narzuconych przez centrum. Ale znaleźli się i tacy, którzy w braku swoich narodowo-polskich kandydatów, zwrócili się do tych, którzy reprezentowali najskrajniejszą opozycję — do socjalistów.

To też wybory dały niesłychane dotychczas na Śląsku rezultaty: 25.435 głosów padło na socjalistycznych kandydatów, pomimo niesłychanej presji zjednoczonych przeciwników. Liczba głosów socjalistycznych podskoczyła z 5.000 do 25.000 t. j. zwiększyła się od czasu ostatnich wyborów (1893) pięć razy. W pojedynczych okręgach widzimy wzrost poprostu nadzwyczajny, jak w katowicko-zaborskim lub bytomsko-tarnowickim. W pierwszym w r. 1893. kandydat socjalistyczny otrzymał 646 — w r. zaś 1898. — 9.829; w drugim liczba głosów oddanych na socjalistę, wzrosła z 258 do 7.955. Trzeba wziąć pod uwagę, że w niektórych okręgach, mniej

przemysłowych, liczba głosów zwiększyłaby się jeszcze bardziej, gdyby nie brakło wielu robotników sezonowych (murarzy, kamieniarzy, cieśli), którzy wyszli w tym czasie na roboty.

Nie można się ludzić, że wszystkie głosy, które padły na kandydatów socjalistycznych, zostały oddane przez socjalistów. Zupełnie świadomych socjalistów była pomiędzy tymi 25 tysiącami zaledwie część jakaś, ale wszyscy ci wyborcy, narażając się na prześladowania i utratę pracy, głosując na socjalistów, popierali ich jako najskrajniejszą opozycję. Czy wszyscy ci wyborcy i w przyszłości będą tak samo głosowali, czy ze zwolenników kandydatur socjalistycznych przekształcą się na wyborców socjalistów, zależy to będzie od postaci, jaką przybierze w najbliższej przyszłości ruch socjalistyczny na Śląsku, od jego charakteru narodowego.

Te rezultaty ostatnich wyborów na Górnym Śląsku były w znacznym stopniu wynikiem tego, że katolicy nie wystawili swych samodzielnych narodowo-polskich, demokratycznych kandydatów: socjaliści reprezentowali skrajną opozycję nie tylko pod względem społeczno-politycznym, ale i narodowym⁴⁾

W tym fakcie tkwi wskazówka co do przyszłych losów ruchu socjalistycznego w zaborze pruskim. Będzie on miał powodzenie tylko wówczas, jeśli na swym sztandarze wyraźnie wypisze obok emancypacji społecznej klasy robotczej jeszcze i wyzwolenie narodowo-polityczne całego narodu polskiego. W tym kierunku zaś pójdzie socjalizm polski, ruch socjalistyczny kierowany przez Polaków zupełnie samodzielnie, nie zaś socjalizm niemiecki, posługujący się z konieczności językiem polskim jako środkiem agitacyjnym.

II.

W ciągu ostatnich lat kilku socjalna demokracja niemiecka rozwinęła bardzo energiczną czynność agitacyjną w polskich dzielnicach Prus. Agitacja zawodowa, rozwijana przez nią, dotyczy przede wszystkim robotników niemieckich, jako najbardziej przystępnych dla agitarów partyjnych, posługujących się językiem niemieckim. Oddziaływa ona jednak i na robotników polskich bezpośrednio i pośrednio. Protokół ostatniego zjazdu zawodowego Niemiec daje nam garść wskazówek dotyczących tego wpływu.

Ze sprawozdania kasowego dowiadujemy się, że komisja jeneralna wypłaciła od 1-go kwietnia 1896 do 31-go marca 1899

⁴⁾ P. Krytyka. Zeszyt VIII 1899. St. Os..arz. Stosunki polityczne zaboru pruskiego.

komisjom agitacyjnym w Poznaniu, Królewcu i Bytomiu około 10.000 marek, z czego na sam Bytom poszło prawie 6000 marek.

W Prusiech Wschodnich i Zachodnich agitacja zawodowa miejscowych komisji napotykała główną przeszkodę w braku lokalów, co utrudniało niezmiernie zwolywanie liczniejszych zgromadzeń. Steroryzowani przez policję właściciele restauracji boją się odnajmywać socyalistom swe lokale i np. w stutysięcznym Królewcu jedyny lokal, który udało się uzyskać, może zmieścić zaledwie 200 osób, samych zorganizowanych już w związki zawodowe robotników w Królewcu jest z górą 1000. Jeszcze gorzej ma się rzecz w Gdańsku, gdzie ani jeden z restauratorów nie ośmielił się udzielić swego lokalu i gdzie wskutek tego robotnicy musieli założyć towarzystwo kasynowe. Do otrzymanego w ten sposób lokalu mogą uczęszczać jedynie członkowie kasyna, co również niezmiernie utrudnia agitację.

Oto przykład, w jaki sposób policja uniemożliwia korzystanie z lokalu. W r. 1896. udało się zawrzeć umowę z pewnym restauratorem z pod Poznania, który zobowiązał się użyczać lokalu na zgromadzenia. Ale, jak tylko zgłoszono pierwsze zgromadzenie, policja natychmiast skróciła porę do której restauracja może być otwarta. Żandarm przysłany na zgromadzenie zażądał usunięcia kobiet, grożąc, że w przeciwnym razie rozwiąże zgromadzenie. Przystano i na to, ale kiedy referent zwrócił uwagę, że postępowanie żandarma jest nadużyciem, ten ostatni zagroził procesem, a z nadejściem godziny, o której według świeżo wydanego przepisu lokal musiał być zamknięty, rozwiązał zgromadzenie. Cóż z tego, że referent wygrał proces, wytoczony mu za rzekomą obrazę urzędnika pełniącego swe funkcyę? — nie zapobiegło to bynajmniej szykanom na przyszłość.

Sprawozdanie zaznacza, że rezultatów prasy agitacyjnej we wschodnich prowincjach Niemiec nie można mierzyć liczbą członków zorganizowanych w związki zawodowe. Komisji chodzi o to, ażeby robotnicy, gromadnie przybywający z prowincyi wschodnich do Niemiec zachodnich i środkowych, byli obznajmieni z dążnościami zorganizowanych robotników. W tym, też kierunku głównie działają komisye agitacyjne i obecnie mało jest już zakątków w Prusiech Wschodnich, gdzieby robotnicy fachowi nie znali zadań związków zawodowych. W Prusiech Wschodnich, gdzie robotnicy w olbrzymiej większości należą do narodowości niemieckiej, poszło to względnie dość łatwo, ale praca komisji gdańskiej była daleko cięższa i mniej płodna w rezultaty, gdyż tu ludność polska nie rozumie

po niemiecku. Najgorzej jest w południowej części Prus Zachodnich — w czysto polskim okręgu toruńskim. Od końca 1896. r. nie uzyskano tam lokalu na zgromadzenie i nawet niema tam już meża zaufania komisji jeneralnej.

W Poznańskim udało się organizacyi zawodowej zdobyć grunt dość pewny. Poczynając od lipca 1898. prowadzono agitacyę zawodową w samym Poznaniu, a od marca 1896. i na prowincyi. Kiedy w lipcu 1898. było w Poznaniu 212 zorganizowanych robotników 13 zawodów, w styczniu cyfry te dosięgły już 555, (zawodów 13). Zgromadzenia zawodowe odbywają się w kilku mniejszych miastach z dość pomyślnym rezultatem — oczywista wśród robotników niemieckich.

Największą uwagę zwróciła komisja jeneralna na Górny Śląsk. I tu, tak samo jak w Prusiech Zachodnich, agitacya jest utrudniona głównie z tego powodu, że ludność prawie wyłącznie włada tylko polskim językiem I tu władze policyjne postępują z krańcową bezwzględnością, nie szczczędzając szykan najrozmaitszych. Biuro pomocy prawnej, które zostało założone w Bytomiu, stale jest pilnowane przez kilku policyantów; ci na początku pozwalali sobie nawet wchodzić do samego lokalu. Kiedy to nadużycie wreszcie usunięto, posypały się kary pieniężne na właściciela domu, w którym znajdowało się biuro. W ten sposób chciano go zmusić do pozbycia się biura, czego też wkońcu dopięto. Z wynalezieniem nowego mieszkania były wielkie kłopoty. Nareszcie wynajęto je — i historia z dozorem policyjnym i karami pieniężnymi znowu się powtórzyła. Skarga osobista przewodniczącego komisji jeneralnej przed burmistrzem nic nie pomogła i tylko skierowanie sprawy na drogę sądową położyło kres bezprawnemu dozorowi policyjnemu. Najtrudniej było z wynajęciem lokalu. W wielu wypadkach właściciele, którzy się już byli zgodzili na odnajęcie pokoju restauracyjnego, cofnęli się wobec grózb ze strony policyi, płacąc nawet znaczne kary za złamanie kontraktu. W końcu otrzymano dwa lokale — w Bytomiu i w Bielorowicach, ale bytomskie władze zabroniły odbywania zgromadzeń.

Pomimo tak trudnych warunków ruch zawodowy coraz bardziej grunt zyskuje i liczba członków związków zawodowych ustawicznie wzrasta. W listopadzie 1898 roku założono sekretaryat robotniczy, co wpłynęło znacznie na powiększenie liczby członków.

Tyle dowiadujemy się o agitacyi wśród robotników polskich, lub w prowincjach polskich wogóle ze sprawozdania komisji jeneralnej.

Faktem jest, że socjalni demokraci niemieccy traktują agitację na wschodzie jako akcję zapobiegawczą, podejmowaną w celu zabezpieczenia robotników niemieckich od konkurencji przybywających z Polski robotników nieświadomych. Ze sprawozdania widzimy, że nieznanomość języka niemieckiego u proletaryuszy polskich stanowiła zawadę nieprzepartą dla postępów agitacji zawodowej, prowadzonej przez Niemców, niezających języka polskiego.

Rezultat całej tej agitacji przedstawia się bardzo marnie, gdyż poza robotnikami niemieckimi w prowincjach polskich mało kogo udało się komisji jeneralnej pozyskać.

Ogromnie charakterystyczny jest frazes, który wymknął się Legienowi, przewodniczącemu komisji jeneralnej w czasie omawiania stosunków na Śląsku. Oto co mówił Legien: „Pomimo wysoko rozwiniętego przemysłu proletaryat znajduje się tam na tak niskim stopniu rozwoju, że go bardzo trudno dla naszych celów pozyskać. Na domiar złego bardzo tam trudno znaleźć odpowiednich ludzi. Ci, którychby można zużytkować, starają się przeważnie agitować na korzyść idei wielkopolskiej, co naturalnie nie leży w naszych interesach, gdyż my posługujemy się językiem polskim jedynie dla naszej agitacji“. Frazes ten jest charakterystyczny dlatego, że doskonale nam maluje położenie agitatorów niemieckich na gruncie polskim. Pojawiwszy się na Górnym Śląsku, agitator taki ma do czynienia z dwiema warstwami ludności robotniczej: z zupełnie ciemną masą, prawie nieprzystępną dla wszelkiej agitacji i opanowaną przez fanatyczny kler, oraz z żywiołem już obudzonym, bardziej inteligentnym, który jednak dla socjalisty niemieckiego jest „grosspolnisch“, a z tego względu podejrzany. Unikając tego najbardziej podatnego na wszelką propagandę ideową żywiołu, a nic nie mogąc wskórać wśród całkiem ciemnej jeszcze masy, agitator niemiecki najczęściej odchodzi z próżnymi rękami.

Niepodobna wprost żądać od przeciętnych agitatorów Niemców, ażeby odrazu zrozumieli, jaką wagę posiada dla proletaryatu polskiego walka o narodowość, o prawo języka i t. d. Nie znając stosunków naszych, socjaliści niemieccy nie rozumieją, jak potężną dźwignią rozwoju ruchu socjalistycznego na Śląsku mogłoby się stać podjęcie przez socjalistów energicznej, radykalnej obrony praw narodowości polskiej. Co gorsza, w obozie socjalnej demokracji dają się odczuwać — słabe, co prawda, ale wyraźne — prądy antypolskie. Niektórzy socjalni demokraci niemieccy patrzą krzywym okiem na istnienie samodzielnej polskiej socjalistycznej organizacji partyjnej w Niemczech, a jedno z pism socjalno-demokratycznych,

„Sächsische Arbeiter-Zeitung“ w Dreźnie w okresie lat 1896—98, wzniesło formalną kampanię przeciwko istnieniu samodzielnej partii polskiej. Kampania ta — trzeba przyznać to na korzyść Niemców — była w bardzo znacznym stopniu inspirowana przez żywioły polsko-rosyjskie, zaliczające się do obozu propagującego „organiczne wcielenie“ Polski do państw zaborczych. W kampanii tej, prowadzonej przez dziennik saski z zajadłością wypowiedziano nawet poglądy, że socjaliści winni popierać germanizację. Taki haka-tyczny głos w obozie socjalnej demokracji niemieckiej był całkiem osamotniony i nie spotkał się z uznaniem.*)

Zatarg polsko-niemiecki w łonie socjalnej demokracji naj-ostrzej się zaznaczył podczas zjazdu partii niemieckiej w Hamburgu w r. 1897, gdy wniosek socjalistów polskich, domaga-jących się, by w okręgach o przeważającej ludności polskiej kan-dydat na posła był biegły w obu językach, spowodował swojego rodzaju „Polendebatte“, w ciągu której padły z ust Niemca Pfannkucha następujące słowa: „Narodowo-szowinistyczna tendencya postawionego wniosku sprzeciwia się umowie, zawartej z polskimi towarzyszami. Nie znamy żadnych polskich towarzyszy w łonie niemieckiej socjalnej demokracji i nie pozwolimy na stworzenie w Niemczech rozporządzenia językowego, jakie towarzysze austry-accy odpowiednio do tamtejszych stosunków ustanowić musieli.“

To jedyne w swoim rodzaju wystąpienie zostało natychmiast nader energicznie odparte i napiętnowane przez cały szereg mówców: Liebknechta, Bebla, Zubeila i innych. Pokazało się, że socjalny haka-tyzm jest naleciałością bardzo nikłą; nie mniej przeto ruch polsko-socjalistyczny musi się liczyć z tem, że szowinizm wdarł się i do szeregów socjalnej demokracji niemieckiej i że sprawy prole-taryatu polskiego nie będą Niemcy traktowali tak, jak sprawę proletaryatu niemieckiego. Oto przykład:

W r. 1899. zarząd górniczy w Westfalii wydał rozporządzenie, na mocy którego wszyscy robotnicy polscy mają być wydalenii z kopalń dortmundzkich, jeśli nie wykażą się znajomością języka niemieckiego. Ukaz ten wywołał wśród górników polskich oburze-nie, które naturalnie podzieliła i „Gazeta Robotnicza“. Tymczasem wydawany przez Niemców socjalistyczny „Górnik“, idąc za przy-kładem „Berg und Hütten — Arbeiter-Zeitung“, przyklasnął dzikiemu

*) Należy podnieść fakt, że ten sam socjalny demokrata, przesiedliwszy się na Śląsk i poznawszy stosunki nieco dokładniej, wystąpił w 2 lata potem z żądaniem wprowadzenia do szkół śląskich języka polskiego, jako wykładowego.

rozporządzeniu, ochraniającemu robotników niemieckich od konkurencji polskich. Takie stanowisko „Górnika” zaszkodziło mu bardzo w opinii robotników polskich a wkrótce potem „Górnika” upadł.

Ażeby osłonić fiasko, zarząd Związku górniczego, zawieszając pismo, ogłosił, że okazało się ono „zbytecznym,” gdyż robotnicy Polacy doskonale znają język niemiecki i czytają organ niemiecki. Ironia losu chciała, że właśnie w parę tygodni po zawieszeniu „Górnika” w Herne wybuchł wielki strejk niezorganizowanych polskich górników, co do których ten sam zarząd w swem piśmie musiał przyznać, że nie umieją zupełnie po niemiecku. Okazało się więc, że ci górnicy, dla których właściwie „Górnika” był przeznaczony, prawie go nie czytali; agitatorowie niemieccy do nich zbliżyć się nie umieli, a organizacja niemiecka nie zdołała ich ująć w karby. Koszta i zachody poszły na marne.

Wszystkie te fakty dowodzą niezbicie, że agitacja socjalistyczna, prowadzona przez Niemców, nie tylko nie osiąga znaczniejszych rezultatów, ale niejednokrotnie staje w sprzeczności z interesami proletariatu polskiego, których nie rozumie.

Tylko *polski* socjalizm tedy może liczyć na powodzenie wśród polskiej ludności w zaborze pruskim.



W. FELDMAN.

FILOZOFIA HAECKLA.

I.

W przededniu trzechsetnej rocznicy spalenia na stosie Giordana Bruna wydał jeden z twórców nowoczesnej biologii, Ernest Haeckel system filozoficzny*), będący ciągiem dalszym myśli filozoficznej i humanitarnej wielkiego Nolańczyka.

Bruno i mistrz jego, Kopernik, stoją, jako święte duchy, u wrót filozofii nowoczesnej. Polak był pierwszym, który rzucił hasło największej rewolucji umysłowej, jaką ludzkość po Chrystusie przeżyła, Włoch nasycił to hasło namiętnością i poezją południowca, nadał mu właściwe znaczenie filozoficzne, z siłą niestrudzonego apo-

*) Die Welträthsel. Gemeinverständliche Studien über monistische Philosophie. Bonn, Emil Strauss. Str. 473.

stola-agitatora rozniósł je po świecie i dla rewolucyi pozyskał tłumy. Boga wygnanego z niebios rozlał po wszechświecie, nieskończonym w czasie i przestrzeni, w której nasz system słoneczny jest tylko jednym z pośród licznych światów. Niema — głosił — dualizmu materji a formy; materya nosi w swoim łonie formy i wyłania je z siebie samej. Części elementarne wszystkiego co istnieje, nie powstają i nie giną, lecz bezustannie łączą się z sobą i rozdzielają; są to minima czyli monady, mają równocześnie stronę fizyczną, jak i psychiczną. „Świat i przyroda dla Brunona stanowią jedno; wszystko (wszechświat), dusza świata i Bóg — prawie jedno. Nawet materyę nazywa „istotą boską“. Nic też dziwnego, że strażnicy boskości w teologicznem słowa znaczeniu — panteistę i heretyka w imieniu Boga miłości stracili.

Ale idea żyła. Z popiołów powstawała, z ognia czerpała nową piękność, z prześladowań większą siłę. W Europie zaczęły się kształtować nowe stosunki ekonomiczno-społeczne, nowy świat materyalny („noszący w swem łonie formy“), popychający myśl ludzką na drogę zupełnej emancypacyi z pod powagi. Źródło wszelkiego życia, z którego czerpie świeże siły serce zbolale i myśl znużona, które ożywiło i malarstwo nowoczesne i poezję, przyroda, to wyklęte i pogardzane przez teologię „mięso“ — przemawia znowu z potęgą wymowną. Niedarmo odrodzenie filozofii zaczyna się od filozofii natury. Astronomowie, eksperymentatorzy i empirycy wydzierają kosmosowi coraz większe tajemnice — sfera starej religii, sięjąca trwogę, tajemniczość, zacieśnia się, maleje. Jeszcze Descartes przyjmuje Boga, jako stwórcę ciał i pierwszą przyczynę ruchu, a obok niego — drugorzędne prawa ruchu, przyjmuje jeszcze dualizm psychiczny widząc w człowieku duszę — w zwierzętach automaty. Następca jego Benedykt Spinoza, wyklęty i śmiercią zagrożony przez żydów, a nienawiścią ścigany nawet przez wolnodumców współczesnych, formułuje już pogląd filozoficzny głoszący bezwzględną konieczność zjawisk, jedność bytu, wszechuduchowienie, determinizm, monizm, panteizm.

Filozofia monistyczna była skończoną. Chrzest jej był, jak wszystkich nowych religii, krwawy. Kopernik dzięki tylko przezorności uniknął prześladowania; Spinoza dzięki li przypadkowi uniknął śmierci, poniósł męczeństwo Bruno i inni. Nic dziwnego, że filozofia ta zastępuje niejednemu — religię. Z bólów się rodziła i pracy myśli Wielkich i Szlachetnych — ci przez wielu są też czczeni, jako „święci poznania“. A tryumfem tych apostołów jest, że słowa te można dzisiaj głosić publicznie, wśród niejednego niebezpieczeństwa, ale

nieskończenie dalekiego od owych, jakie groziły pierwszym apostołom, że gdy sto lat temu nazwa *spinozisty* była albo nieznaną albo synonimem fałszu umysłowego, wszeteczeństwa i zła — dzisiaj śmiało może wychodzić na widok publiczny, pewna bezsilnych krzyków puszczaków, ale także entuzjazmu ze strony setek tysięcy książka Haeckla, jedna z najśmielszych, jakie kiedykolwiek wydał umysł ludzki. Faktem jest tedy nie tylko postęp w umysłach, lecz także postęp w urządzeniach i stosunkach społecznych; męczennicy zwyciężyli katów.

II.

Filozofia, głosząca jedność sił wszechświata, musi się opierać na silnej podstawie nauk przyrodniczych. Wyjątkowym jest umysł taki, jak Spinozy, który drogą potężnego rozumowania, czystej spekulacji, doszedł do rezultatów, zgodnych z wieloma dzisiejszemi syntezami nauk specjalnych; czas czystej spekulacji metafizycznej przeszedł atoli niepowrotnie. Zrozumiałem jest przeto, że materjalizm niemiecki (Büchner, Vogt, Moleschott), który w połowie dziewiętnastego wieku konstruował swój system, musiał być niepełnym i pełnym wewnętrznych sprzeczności. Nie znalazł jeszcze najplodniejszych syntez przyrodniczych (Helmholtz, Bunsen Kirchhoff, a przede wszystkim Darwin — o czem niżej) i popadał w metafizykę, którą zwalczał.

Reakcja przeciwko materjalizmowi, podjęta przez Du-Bois Reymonda i Langego miała też swoje uzasadnienie i stanowiła postęp w rozwoju myśli ludzkiej. Postęp o tyle, o ile prostowała błędy i wyzwalała umysł z zastoju, wynikającego z sutego zadowolenia i ślepej ufności w rezultaty już osiągnięte. Za daleko posunęła się atoli, mówiąc ustami Du-Bois Reymonda: *ignorabimus*. „Ignorabimus“, gdyż rozbijamy się o „granice poznania natury“ i o „siedm zagadek wszechświatowych“ *). Jakże to granice — jakie zagadki?

Nasze poznanie natury — rozumuje „retor berlińskiej akademii“, jak go ironicznie ciągle nazywa Haeckel — jest zawarte między dwiema granicami, które mu wytykają z jednej strony nasza niezdolność do pojęcia istoty materji i siły, z drugiej — niemożność zrozumienia spraw duchowych przez ich warunki materjalne. Wewnątrz tych granic przyrodnik jest władcą i panem, rozczłonkowuje i buduje a nikt nie wie, gdzie leży granica jego potęgi.

Tytuł dwóch odczytów; polskie wydanie „Przeglądu filozoficznego“, 1898.

Po za te granice przejść nie może i nigdy nie będzie mógł“. Przeciwno tej rezygnacyi wystąpił Ernest Haeckel, jeden z największych biologów i najgorętszy propagator oraz kontynuator Darwina. Najważniejszej przeszkody: niemożności zrozumienia świadomości na drodze mechaniki Haeckel nie uznał — owszem, skonstruował teorię spekulacyjną, wyjaśniającą kwestyę świadomości. „Każdy atom — twierdził — ma stale sobie właściwą sumę siły i jest, w tem znaczeniu, obdarzony duszą. Przyjemność i przykrość, pożądanie i wstręt, przyciąganie i odpychanie muszą być wszystkim masom atomowym wspólne; ruchy bowiem atomów, które muszą zachodzić przy powstawaniu i rozkładaniu się każdego związku chemicznego, są o tyle tylko zrozumiałe, o ile przypiszemy atomom czucie i wolę“ (nie w znaczeniu świadomości).

W odpowiedzi wygłosił Du Bois Reymond drugą swą mowę. Streszcza w niej wszystkie trudności i wątpliwości, jakie nowoczesny sceptyk widzi na drodze zrozumienia świata. Dzielą się one na dwie kategorie. Jedne z nich nie dają się wytłómaczyć na podstawie dotychczasowego stanu nauk, drugie — t r a n s c e n d e n t n e — wydają mu się niepokonanemi nawet w takim razie, gdyby poprzednie rozwiązane zostały. Do transcendentnych zagadnień wszechświata podług niego należą: 1) kwestya istoty materji i siły; 2) kwestya powstania ruchu. Du Bois Reymond wystawia sobie stan pierwotny, jako stan absolutnego spoczynku, w którym materja była równomiernie w nieskończonej przestrzeni rozłożona. Ponieważ impuls nadnaturalny z naszymi pojęciami nie licuje, przeto brak dla pierwszego ruchu zasady wystarczającej; 3) powstanie czucia zmysłowego, 4) zagadnienie wolności woli. Resztę zagadnień następuje: 1) powstanie życia 2) pozornie celowe urządzenie natury, 3) myślenie rozumne i powstanie języka. W sieciach tych wikła się rozum ludzki; poza nie, szczególnie poza oczka czterech zagadnień transcendentnych nie wyjdzie teoria mechanistyczna.

Tak twierdził Du Bois Reymond, przyczem charakterystycznym jest że drugiego swego odczytu nie zakończył już rozpaczliwem; *ignoramus*, lecz wyrzekł znacznie łagodniejsze, mądrzejsze, i kryjące dużo nadziei: *dubitemus*.

III.

Ernest Haeckel do umysłów słabych, skłonnych do połowiczności zwątpień i rezygnacyi, nie należy. Ma w sobie coś ze starożytnego greka ten potężny badacz natury, bojownik, artysta (rysownik) i poeta

w jednej osobie; piękny i niespożyty pod względem fizycznym i po-
gański — pod duchowym. Pracuje od kilku dziesiątków lat
w Jenie w laboratorium, w którym pół wieku przed nim ekspery-
mentował Goethe i coś z uniwersalności i natchnień Olimpijczyka
na niego spłynęło. Największym zdarzeniem jego życia było poznanie
teorii descendencji Darwina. Znalazł cel; z dwóch części teorii mi-
strza: o pochodzeniu gatunków i doborze, obrał sobie pierwszą za
specjalność i jej opracowaniu poświęcił najlepsze swoje siły. Opra-
cowaniem drzewa genealogicznego wszech stworzeń („Generelle Mor-
phologie der Organismen“, 1866) i szeregiem szczegółowych badań
i monografii zapewnił też sobie stanowisko jednego z największych
biologów 19. wieku.

Nie byłby Haeckel dokonał tych prac bez wielkiego zasobu
fantazyi i spekulacyj filozoficznych. Już one różnią go od materyali-
stów XVIII. i XIX. wieku, którzy zgadzali się mniej więcej z Vo-
gtem, że „spekulatywno-filozoficzne książki dobre są, ale tylko jako
środek usypiający.“ Najważniejsze rezultaty, jakie osiągnął na polu
biologii (sformułowanie „prawa biogenetycznego“) zawdzięcza zdol-
ności spekulatywnej i fantazyi, im zawdzięcza też jednolity swój
pogląd na świat, monizm panteistyczny.

W 66-tym roku życia, „czując zbliżającą się starość“ rozwija swój
system, będący pogłębieniem przyrodniczem i uzupełnieniem filozo-
ficznem materyalistów a ciągiem dalszym łańcucha, rozpoczętego
w starożytności a kontynowanego przez Brunona i Spinozę.

Do m o n i z m u skłaniają wszystkie poważniejsze wyniki nauk
specjalnych, które w 19 wieku doszły do stopnia rozwoju, o jakim
dawniej marzyć nie można było.

W a s t r o n o m i i Kopernik zburzył był geocentryczny system
Ptolomeusza; Kepler i Galeileusz ugruntowali „mechanikę nieba“;
Kant i Laplace stwierdzili w systemie planetarnym zasadę rozwo-
jową, zaś Bunsen i Kirchhoff zapomocą analizy spektralnej udowo-
dnili tożsamość materyi we wszechświecie. Wynika stąd pogląd mo-
nistyczny na jedność fizykalną i chemiczną kosmosu oraz przekonaniu
o panowaniu powszechnem prawa rozwoju.

W g e o l o g i i przeprowadził Lyell zasadę ciągłości przeobra-
żania się skorupy ziemskiej wbrew panującej przedtem teorii ka-
tastrof Cuviera; paleontologia dostarczyła na to mnóstwo dowodów
historycznych. Okazało się, że dzieje ziemi liczą dziesiątki milionów
lat, że w przeciągu tego czasu panuje również zasada ciągłego,
naturalnego rozwoju.

Postępy fizyki i chemii są olbrzymie, a największe może postępy w wieku 19. zrobiła biologia. Dopiero w r. 1828 stworzył Baer nowoczesną embrylogię, Schwann zaś w r. 1838 — naukę o komórkach; największym zaś tryumfem biologii jest postawiona przez Darwina w r. 1859, przedtem głoszona przez Lamarcka a przeczuwana przez Kanta, i Goethego zasada rozwoju gatunków. W roku 1863 przedłożył Huxley dowody pochodzenia człowieka od małp człekokształtnych, a znaleziony w r. 1894 *pithecanthropus erectus* zapelnia brakujący dotąd szczebel organiczny między człowiekiem a rodziną małp wyższych. Teorię descendencyjną rozwinął potem do ostatecznych konsekwencji sam Haeckel; „prawem biogenetycznym“ udowodnił, że ontogenia, rozwój jednostkowy, jest skróconą i szybką rekapitulacją filogenii, rozwoju gatunku, zaś w „antropogenii“ usiłował przedstawić całą drabinę tworców organicznych, której człowiek jest szczeblem szczytowym.

Zasada monizmu, jedności oraz rozwoju została tedy w królestwie przyrody organicznej udowodnioną, jak stwierdzono ją również w świecie planetarnym. Na podstawie zaś najwyższych uogólnień fizyki i chemii formułuje Haeckel jeden z najważniejszych argumentów przeciw tezom Du Bois Reymonda. Jest nim prawo substancyonalności, logiczny wypływ zasady zachowania materii (Lavoisiera) i prawa zachowania energii (Mayera i Helmholtza). Obie te zasady są nierozłączne, jak nierozłączne są ich objekty, siła i materia. Wynika stąd uniwersalna jedność sił natury, odpada pytanie pierwszego ruchu, gdyż ruch jest nieodłącznym od materii. Prawo substancyonalności jest prawem kosmologicznem, gdyż obejmuje obie strony kosmosu; logicznie na podstawie prawa przyczynowości wynika z niego prawo stałości wszechświata. Teoria ta nauki ściśle doświadczalnej; fizyki i chemii, zlewa się dziwnie zgodnie ze wspaniałą spekulacją metafizyczną Spinozy, ogłoszoną w sto lat (1677), zanim Lavoisier zapomocą wagi chemicznej sformułował zasadę zachowania materii. Podług poglądu panteistycznego Spinozy — najczystszej monizmu a zarazem monoteizmu — pojęcie Boga i uniwersum jest jednoznaczne; wszechświat czyli Bóg jest uniwersalną nieskończoną substancją, istniejącą w swych nieskończonych atrybutach z których znamy dwa: materię (istotę rozciągłą) i ducha (istotę myślącą, energią). Wszystko co istnieje, jest tylko objawem (*modus*), sposobem bytu, stanem zmiennym jednej substancji: Boga wszechświata; owe *modi* są rzeczami cielesnymi, stanami materialnymi, rozważane jako objawy atrybutu rozciągłości, zaś siłami; ideami—jako objawy myślenia. Poza

tem nic więcej we wszechświecie, czyli w jedynej nieskończonej istocie boskiej niema.

Gdy fizyka i chemia odnosiły zasadnicze prawo substancjonalności do świata nieorganicznego, przyjęła je obecnie fizjologia i wykazuje, że wszystkie bez wyjątku objawy życiowe organizmów — bez interwencji witalizmu, specjalnej siły życiowej — dają się sprowadzić do przemiany siły i materii. Stąd krok do psychologii.

Rozważając wszystkie objawy (*modi*) wiecznej substancji ze stanowiska rozciągłości i myśli — uduchowiamy wszechświat we wszystkich jego cząsteczkach. To samo czynił Empedokles mówiąc o miłości i nienawiści atomów, to samo czynią niektórzy nowożytni atomiści, uważając przyciąganie i odpychanie atomów, objawy powinowactwa chemicznego, za to, co w duszy nazywamy uczuciem i wolą, za najelementarniejsze stanów tych formy. Dusza z tego stanowiska rozważana będzie oczywiście daleką od wyobrażeń dualistów, podług których jest substancją odrębną, niematerialną, nieśmiertelną. Nie ma osobnego świata duchowego — dusza jest tylko jednym z objawów świata przyrodzonego, psychologia — gałęzią fizjologii.

Psychologia jest koroną nauk przyrodniczych, więc prawa jej nie wylamują się z pod prawa jedności wszechświata. Wszystkie objawy „duszy“ są ściśle związane z procesami materialnymi w żywej substancji ciała, mają substrat materialny: psychoplazmę; na wyższych stopniach rozwoju — neuroplazmę: zróżniczkowaną substancję, nerwową. Dusza nie jest przeto substancją odrębną, jest raczej pojęciem zbiorowym dla wszystkich funkcji psychicznych plazmy. „Dusza“ jest taksamo abstrakcją fizjologiczną, jak „przemiana materii“ lub „rozmnażanie“. Jeszcze przed 33 laty postawił był Haeckel hipotezę, że każda żywa komórka posiada własności psychiczne (ruch) i że życie psychiczne wielokomórkowych zwierząt i roślin nie jest niczem więcej, jak tylko rezultatem funkcji psychicznych komórek stanowiących ich ciało. Początek ten i rozwój duszy da się śledzić na wszystkich stopniach przyrody organicznej. U wyższych zwierząt i u człowieka jest psychoplazma, skutkiem wysoko posuniętego podziału pracy w organach i naczyniach, zróżniczkowanym składnikiem systemu nerwowego, jest *neuroplazmą* komórek zwojów mózgowych i złączonych z nimi nerwów. Natomiast u zwierząt niższych, które jeszcze nie posiadają specjalnych nerwów i organów poszczególnych zmysłów, nie doszła jeszcze psychoplazma do samoistnego rozwoju, podobnie jak i u roślin. U istot zaś najprostszych jednokomórkowych, jest psychoplazma albo identyczna z całą żyjącą protoplazmą albo z jedną jej częścią. We wszystkich wypadkach, tak

na najwyższym jak i na najniższym stopniu skali psychologicznej, musi istnieć pewien skład chemiczny psychoplazmy i czynny stan fizyczny, jeżeli „dusza“ ma funkcjonować. Anatomia porównawcza dozwala przedstawić całą drabinę rozwojową organów duszy, od różniczkowania się pierwotniaków do skomplikowanego i posiadającego zlokalizowane centra mózgu człowieka, fizjologia zaś porównawcza wykazuje drabinę rozwojową funkcyjnych organów — od najprostszych drgnień ameby, podrażnionej światłem, ciepłem, elektrycznością, do owych stopni dyfferencyj, kiedy nabyte w walce o byt organa wywołują stany duchowe naprzód nieświadome, potem kierowane świadomością — ale nigdy wolną wolą. Procesy te dają się sprawdzić ontogenetycznie — w rozwoju jednostki od stanu komórki do zupełnego jej wykształcenia — co także jest dowodem za analogicznym rozwojem gatunku.

W ten sposób daje się skreślić obraz głównych stopni rozwoju w historii duszy, począwszy od duszy komórki, obdarzonej własnością ruchu („prawo substancjonalności“!), o której mówi znakomity fizjolog, Max Verworn, że „psychiczne procesy w świecie istot jednokomórkowych są pomostem, łączącym procesy chemiczne w przyrodzie nieorganicznej z życiem psychicznym najwyższej rozwiniętych istot; reprezentują one zarodek najwyższych zjawisk psychicznych u istot wielokomórkowych i u człowieka“.

Oto ta drabina rozwojowa:

Pięć grup psychologicznych świata organicznego.

V. Człowiek, wyższe kręgowce, wielostawy, mięczaki.

IV. Niższe kręgowce, większa część zwierząt bezkręgowych.

III. Najniższe zwierzęta bezkręgowce (polipy, gąbki) większa część roślin.

II. Agregaty pierwotniaków: zrzeszenia komórkowe pierwotniaków zwierzęcych (*Carchesium*) i roślinnych (*Volvox*).

I. Jednokomórkowe pierwotniaki. Odsobnione pierwotniaki zwierzęce i roślinne.

Pięć stopni tworzenia się organów duszy.

V. System nerwowy z najwyższym rozwiniętym organem centralnym: *neuropsyche* z świadomością.

IV. System nerwowy z organem centralnym prostym: *neuropsyche* bez świadomości.

III. Brak systemu nerwowego. Wielokomórkowa dusza tkankowa. *Histopsyche* bez świadomości.

II. Psychoplazma złożona. Dusza komórkowa zrzeszona. *Cytopsyche socialis*.

I. Psychoplazma pojedyncza. Pojedyncza dusza komórkowa. *Cytopsyche solitaria*.

W ten sposób rozwija się z pojedynczej komórki, z zarodki, dusza coraz doskonalsza, dziedzicząca swe własności od rodziców.

Dzieje się to na drodze mechanicznej, jak wszystko we wszechświecie. Początek świadomości daje się sprowadzić do początku powstawania odnośnych organów fizycznych; jestto kwestya neurologiczna, nie metafizyczna.

Wszystkie nauki specjalne, jak pojedyncze promienie, koncentrują się tedy w jednym punkcie ogniskowym — w poglądzie na świat mechanistyczno-monistycznym. Mechanistycznym — bo wiąże wszystkie zjawiska prawami wewnętrznych przyczyn mechanicznych, monistycznym — bo ujmuje wszystkie te zjawiska w jedno prawo substancyonalności, bo wyprowadza cały kosmos, od systemu planetarnego do zwierzęcej komórki — z jednej odwiecznej nieskończonej substancji, której dwiema stronami są materya i energia, pozostające w wiecznym procesie przyciągania i odpychania, kształtowania i rozwoju, śmierci i nowego życia.

Jestto najradykałniejsze przeciwstawienie panującej u przeważnej części ucywilizowanej ludzkości filozofii dualistycznej. Oto wytyczne punkta tej antytezy i jej konsekwencji:

1. **M o n i z m.** Materyalny świat ciał i niematerjalny świat duchowy tworzą jeden i tensam wszechświat: jedyny, nierozdzielny i wszystko ogarniający.

2. **P a n t e i z m.** *Deus intramundanus.* Bóg i świat jako jedna jedyna substancja. (Materya i energia są jej nierozdzielnymi atrybutami.)

3. **E w o l u c y o n i z m.** Wszechświat jest wieczny i nieskończony, nigdy nie został stworzony i rozwija się wedle wiecznych praw natury.

4. **N a t u r a l i z m** (i racjonalizm). Prawo substancyonalności (zachowania materyi i energii) rządzi wszystkimi zjawiskami bez wyjątku: wszystko się odbywa na mocy praw naturalnych.

5. **M e c h a n i z m.** Specjalna siła życiowa, któraby funkcjonowała niezależnie od sił fizycznych i chemicznych nie istnieje.

6. **T a n a t y z m** (wiara w śmiertelność). Dusza ludzka nie jest istotą samoistną, nieśmiertelną, lecz jest powstałym na drodze naturalnej z duszy zwierzęcej kompleksem funkcji mózgowych.

1. **D u a l i z m.** Materyalny świat ciał i niematerjalny świat duchowy są dwiema całkowicie oddzielnymi dziedzinami (zupełnie od siebie niezależnymi).

2. **T e i z m.** *Deus extramundanus.* Bóg i świat, jako dwie substancje różne. (Materya i energia tylko częściowo z sobą związane.)

3. **K r e a t y z m.** Wszechświat nie jest ani wieczny ani nieskończony, lecz został raz (lub kilkoma aktami) przez Boga z niczego stworzony.

4. **S u p r a n a t u r a l i z m** (i mistycyzm). Prawo substancyonalności rządzi tylko jednym działem natury. Zjawiska życia duchowego są od niego niezależne i nadnaturalne.

5. **W i t a l i z m** (i teleologia). Siła życiowa działa w naturze organicznej celowo, niezależnie od sił fizycznych i chemicznych.

6. **A t a n i z m** (wiara w nieśmiertelność). Dusza ludzka jest istotą odrębną, nieśmiertelną, stworzoną na drodze nadnaturalnej, częściowo lub zupełnie niezależną od funkcji mózgowych.

Filozofia monistyczna wyklucza cuda, objawienia, opatrność, wprowadza pojęcia ściśle, doświadczone a równocześnie nastrojone na wysoką nutę humanistyczną i etyczną. Haeckel jest ostatnim wyrazem łańcucha, którego pierwsze opniwa nawiązywali Anaximander i Empedokles przed 2400, Bruno — przed 300, Spinoza i Newton — przed 200, Kant i Goethe — przed 100 laty. W ostatecznej swej konsekwencji, godząc dezyderata czystego rozumu z potrzebami uczucia i fantazyi — dąży Haeckel do utworzenia kościoła monistycznego, poświęconego kultowi przyrody, piękna i dobra.

.III.

Sprawozdanie powyższe nie może przedstawić całego bogactwa faktów i dowodzeń, rozsianych na blisko 500 str. dużego tomu Haeckla. Zawiera ona całkowity pogląd na świat, więc obejmuje wszystkie zagadnienia przyrodoznawstwa, filozofii i życia.

Zagadnienia przyrodoznawcze, poruszone przez Haeckla, wymagałyby opracowania ze strony kompetentniejszej, niż piszący te słowa dyletant. Haeckel jest przede wszystkim biologiem, a w tej nauce specjalnie uprawia morfologię, w niej też jest królem i niewiele jest ludzi w Europie, którzy by podane przezeń fakta naukowe mogli kompetentnie zbijać. Okoliczność ta, którą stwierdzam apriorycznie, jest bardzo ważna; ze skarbcza bowiem własnej wiedzy, biologii a nawet morfologii, czerpie on dowody dla wielu z najważniejszych swych tez filozoficznych. Tak np. opracowuje wyłącznie na podstawie materiału własnego kwestyę rodowodu świata organicznego i rodowodu duszy. Rozdziały książki siódmy (drabina rozwojowa duszy), ósmy (historia zarodkowa duszy), dziewiąty (historia rodzajowa duszy) oraz dziesiąty (o świadomości) należą też do najświetniejszych i najbardziej zajmujących. Inne materiały wziął autor z drugiej ręki, przyczem zużytkował je stosownie do swego zasobu wiedzy i temperamentu. Szczególnie ten właśnie daje się silnie odczuwać na każdej stronicy. Wiek nie osłabił w Haecklu animuszu, z jakim wystąpił był do walki przed laty trzydziestu („Dzieje stworzenia przyrody“) z religią objawioną i wszystkimi innymi przeciwnikami. Ta sama namiętność uczciwa i gwałtowność, która gdy idzie w parze z filozoficznym rozumowaniem stwarza rozdziały istotnie świetne (np. wyborny rozbiór kwestyi nieśmiertelności duszy), ale niejednokrotnie spada na poziom zrządzenia, napastnictwa i kapucynad á la Ludwik Büchner. Daje się to odczuwać w nastroju niektórych ustępów, zbyt brutalnie dotykających przedmiotów, oto-

czonych przez wielu ludzi bezinteresownym, serdecznym, pełnym poezji i natchnień etycznych pietyzmem; daje się to odczuwać przy szczególnej predylekcyi autora do wojowania z kościołem katolickim. A przecie Francya, państwo katolickie, daje większą swobodę myśli, nauki i sztuki, niż Prusy; a przecie fanatykami są też oficjalni przedstawiciele żydostwa, potomkowie duchowi tych, którzy bezwzględnie prześladowali swego Barucha, zaś czyści deści wielkiej Rewolucyi prześladowali czynnych wyznawców religii pozytywnej. Zgubnym jest każdy fanatyzm, nie instytucya, lub osoba prześladowcy; który fanatyzm jest zbawienny, o tem późne dopiero świadczą dzieje. Ateizm ma taksamo swych teoretycznych Torquemadów, jak katolicyzm. Haecklowi daleko jeszcze do spokoju i obiektywizmu prawdziwego filozofa, z jakim podobne kwestye rozważa np. Fryd. Albert Lange. Daleko mu też do szerokich horyzontów etycznych i społecznych tego filozofa; monizm chce zorganizować w kościół ze względu na potrzeby serca i na wymogi „der Staatsordnung“; pochwałę i to najnieszczęśliwiej dobraną na cześć Bismarka musiał wpleść także do dzieła filozoficznego.

Pomińmy jednak te okoliczności, które są nieodłączne od indywidualności silnej, o przelewającej się wprost energii życiowej, i zobaczmy o ile filozofia Haeckla zaznacza pewien odrębny i dalszy postęp w kształtowaniu nowoczesnego światopoglądu.

Przyrodnicy-sceptycy postawili przez usta Du Bois Reymonda siedm zagadek a Haeckel podejmuje się na nie odpowiedzieć. Ze swego stanowiska wywiązał się z tego zadania konsekwentnie i przeważnie zadowolniająco, stworzywszy system, mogący więcej niż jakikolwiek inny rościć sobie prawa do miana nowoczesnego poglądu na świat, gdyż nie wypada z granic przyczynowości i nie pozostawia luki wielu kwestyj nierozwiązanych.

Z transcendentnych pytań Du Bois Reymonda musimy pominąć pierwsze o istocie materji i siły. Jeżeli filozofia ma być nauką, musi ona badać i opisywać fakta, a „co“? do tej kategorii nie należy. Kwestya istoty sięga najgłębszych tajni czysto indywidualnych, a *Ding an sich* zostało z nauki wygnane jeszcze przez Kanta. Gdy zaś do przyczynowego, mechanistycznego wytłómaczenia wszechświata potrzeba tylko odpowiedzi na „jak“? więc pozostają tylko pytania powstawania ruchu oraz czucia zmysłowego, nareszcie kwestya woli. I tu musi się przyznać słuszność Haecklowi, gdy stosunek materji do siły oraz ruchu rozwiązuje „prawem substancjonalności“. Pytanie czucia — o ile znowu nie dotyczy „istoty“ stosunku spraw psychicznych do organów fizjologicznych — znajduje

swe wytlómaczenie wraz z kompleksem wszystkich zjawisk psychicznych w teorii uduchowienia wszechświata, które objawia się już u atomów, jako przyciąganie i odpychanie („miłość i nienawiść“), a z biegiem rozwoju, zyskując u wyższych tworów organicznych odpowiednie coraz bardziej różniczkujące się organa, wyraża się w całej skali psychicznej, począwszy od refleksów bezwiednych a kończąc na zawikłanych procesach świadomości i namiętności. Stany te wszystkie są zależne od warunków, pytanie więc woli w poglądzie mechanistycznym nie istnieje.

Tyle co do pytań transcendentnych. Inne postawione przez Du Bois Reymonda, odnoszą się do nauk specjalnych, nie do filozofii, wykazują też dość hipotez na ich wytlómaczenie.

Hypotez! tu leży rdzeń kwestyi, do którego Du Bois Reymond nie sięgnął: bo sięgnąwszy, byłby znalazł więcej niż siedm zagadek wszechświatowych i byłby obalił rusztowanie wywodów nietylko Haeckla, lecz każdego wogóle racjonalistycznego poglądu na świat. Czynią to też metafizycy współcześni i spirytyści. I bezwątpienia należy im przyznać, że same zasadnicze punkta operacyjne monizmu dają się kwestyonować. Takie kardynalne punkta operacyjne jak *m a t e r y a*, *a t o m*, *e n e r g i a*, *e t e r* są siłami w gruncie rzeczy nieznanymi, koło każdego z nich roi się od krytyk, negacyj, hipotez, podkopujących wszystko: od ich własności do ich bytu. Lecz tu musimy przytoczyć słuszne, zamało uwzględniane słowa Wundta *) o ewentualnych zmianach poglądów w nauce doświadczalnej na takie kwestye, jak *materya* i *przyczynowość* w nauce:

„So bleibt in Bezug auf den ganzen qualitativen Inhalt künftiger Erfahrungen ein unbegrenztes Feld möglicher Vermuthungen. Jede einzelne dieser Vermuthungen hat aber einen imaginären Charakter. Sie ist weder beweisbar noch widerlegbar, sondern sie wird nur durch die negative Bedingung, dass sie mit dem thatsächlichen Inhalt der Erfahrung nicht in Widerstreit gerathen darf, enigmassen in Schranken gehalten. Immerhin ist diese Bedingung zureichend, um in bestimmten Fällen die Aufstellung von Voraussetzungen über den qualitativen Inhalt der jenseits der Erfahrung gelegenen Elemente der Naturordnung zu gestatten. Es wird eine derartige Berechtigung regelmässig da eintreten, wo die gewöhnliche der widerspruchlosen Verknüpfung der Erfahrungen dienende Hypothesenbildung Ergänzungen herausfordert, die sich doch selbst jeder Controle durch die Erfahrung vorläufig oder für immer entziehen. In

*) *System der Philosophie*, 1889. Str. 360—61.

diesen Fällen kann nämlich die Weiterführung der Hypothesen ins Imaginär-Transcendente den doppelten Zweck erfüllen, dass sie der empirischen Untersuchung die in Zukunft von ihr einzuschlagenden Wege andeutet, und dass sie das System unserer wirklichen Naturerkenntnis zu einer harmonischen Einheit ergänzt“. Prawda, niepewny to grunt podstawowy, ale co stąd wynika? Oto, że *ignoramus*; o tyle jesteśmy agnostykami, o ile terazniejsze siły naszych doświadczeń i władz rozumowania nie pozwalają przekroczyć pewnych granic. Jednakowoż liczba tych granic zmniejsza się nie z wieku na wiek, lecz z roku na rok. Padają coraz inne szranki, wdziera się coraz więcej światła, a monizm dokonywa tego, czego nie zdołał dotąd uczynić żaden system dualistyczny; ujmuje wszechświat jednolitym łańcuchem przyczynowości. W gruncie rzeczy jest on „poezyą myśli“, jak Lange określił wszelką metafizykę, ale z pośród wszystkiej poezyi — panteizm największe przedstawia prawdy i uroki. Bo zlewając się z pozytywną nauką, równocześnie boskością uświęca całą naturę, wszechświat czyni świątynią, człowiekowi wskazuje jego małość, ale wskazuje też mu potężne własne siły i otwiera przed nim perspektywy nieograniczonego rozwoju.

Haeckel wprowadza do tego świata dłoń mistrza.

JANUSZ TRĄBCZYŃSKI.

KTO ZROBI REWOLUCYĘ POLITYCZNĄ W ROSYI?

Mamy przed sobą pod powyższym tytułem broszurę*), wydaną nielegalnie w caracie przez socjalnych demokratów rosyjskich.

Broszura ta jest tak charakterystyczna, tak dobrze maluje poglądy rewolucjonistów dzisiejszych w Rosyi, że warto się z nią zapoznać nieco szczegółowiej.

Nim jednak przystąpię do wyłożenia jej treści, zrobię kilka wyjaśnień niezbędnych o kierunkach rewolucyjnych w Rosyi.

Po zamachu 1 marca 1881 roku, wykonanym przez partyę „Narodnaja Wola,“ który stracił Aleksandra II. z tronu do grobu, po krótkim wahaniu postanowił Aleksander III., pod wpływem ta-

*) »Kto sowierazit rewoluciu w Rossii.« Izdanie kiewskawe komitietu ruskoy social-demokratscheskoj raboczej partii.

kich doradców jak Katkow, Pobiedonoscew i minister Tolstoj, nie robić żadnych ustępstw rewolucyi, lecz przeciwnie, wszelkimi środkami wzmocnić absolutyzm i podnieść w oczach społeczeństwa autorytet władzy.

Socjaliści rosyjscy przyjęli wezwanie i poczęli się przygotowywać do nowych zamachów. Rządowi na razie trudno było ich ująć, gdyż mieli oni rozległe stosunki w administracyi, nie wyłączając nawet departamentu policyi. Była nawet chwila przed koronacją Aleksandra III., kiedy pewna frakcja arystokracji i wyższej biurokracji postanowiła wejść w układy z rewolucjonistami. Frakcja ta wysłała odpowiednią osobę za granicę, dla porozumienia się z emigrantami narodowolcami, w Rosyi zaś prowadził je przez osoby trzecie zmarły niedawno towarzysz ministra, Nikolai. Chciano wówczas skłonić rewolucjonistów do spokojnego zachowania się podczas uroczystości koronacyjnej; wzamian za to obiecywano popierać dążenia konstytucyjne.

Układy te przerwały się skutkiem zdrady Degajewa, który, obawiając się śmierci, wydał swych towarzyszy i w ten sposób przyczynił się do upadku organizacyi „Narodnej Woli“ i co ważniejsza, odkrył rządowi rosyjskiemu karty swego stronnictwa.

Rząd dowiedział się wówczas, że partya ta nie jest potężną, że niema oparcia w masach, że składa się przeważnie z inteligencyi, że wszystkie najświetniejsze jej czyny dokonane były przez garstkę bohaterskich jednostek, które prawie zupełnie wylapane zostały.

Zdrada Degajewa, nieszczęśliwy wypadek z Łopatinym, przy którym podczas aresztu znaleziono kilkaset adresów osób skompromitowanych politycznie, wreszcie brak poparcia w masach robotniczych, spowodowały upadek „Narodnej Woli.“ Rząd poobsadzał więzienie w Szliselburgu najwybitniejszymi i najdzielniejszymi rewolucjonistami i utwierdził się bardziej jeszcze w swej dotychczasowej polityce, wiedząc dobrze, że nikt już teraz śmiało czoła stawiać mu nie będzie.

Jeszcze raz tylko, w 6 lat później, w rocznicę 1 marca, przygotowano zamach na Aleksandra III., ale policya pruska z Berlina zawczasu ostrzegła rząd rosyjski, który przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności i aresztował spiskowców przed soborem Kazańskim. Był to ostatni przebłysk walki terrorystycznej w Rosyi.

Nastąpiła wówczas reakcja w szeregach samych socjalistów, którzy postanowili zaprzestać teroru, a nawet wszelkiej walki politycznej i odtąd kierunek socjalno-demokratyczny wziął górę.

W Szwajcaryi istniało w tym czasie kółko wyrobionych socjal-demokratów rosyjskich, którego członkami byli: Plechanow, Wiara Zasulicz, Akselrod i inni. Zdaniem ich należało przede wszystkim wyrobić masy robotnicze w wielkich miastach, organizując je na podstawie interesów ekonomicznych. Po za tem jednak rozumieli oni całą doniosłość wolności politycznej i potrzebę walki politycznej, nie cofali się nawet przed uznaniem teroru, jako jednego ze środków walki. Plechanow n. p. w zjadliwej swej książce p. t. „Naszi raznogłasia,“ skierowanej przeciwko „Narodnej Woli,“ wyraźnie zaznacza, że nie jest przeciwny terrorowi, sądzi jednak, że ten wtedy tylko mógłby przynieść korzyść, gdyby po dokonaniu pewnych czynów, jak n. p. zamachów w rodzaju 1 marca, masy ludowe zaznaczyły solidarność swą przez szereg wystąpień zbiorowych, chociażby w stolicy tylko, domagając się konstytucyi.

Kółko emigrantów, wyznając zasady socjalno-demokratyczne, zajmowało się więc kwestyą politycznej swobody. Ale rzecz się miała inaczej w samej Rosyi. Zaczęto tu występować przeciwko polityce wogóle, dowodząc, że stosunki ekonomiczne przez rozwój kapitalizmu doprowadzić muszą do socjalistycznego ustroju, a więc jedynem zadaniem jest organizowanie tajnych kas oporu, umożliwiających strejki robotnikom, oraz propaganda zasad socjalizmu.

Pogląd ten był wynikiem doktrynerskiego pojmowania nauki Marksa, które się rozwinęło na tle gwałtownej reakcyi przeciwko wszystkiemu, co było przyjęte przez „Narodną Wolę.“

Oprócz różnicy w poglądach politycznych, była zasadnicza różnica w poglądach ekonomicznych między narodowolcami i socjalno-demokratami. Pierwsi byli zwolennikami gminnego władania ziemią (obszczyna) w Rosyi i w tej formie własności widzieli punkt wyjścia dla swych ideałów socjalistycznych, drudzy widzieli w niej przeszkodę dla rozwoju stosunków ekonomicznych; dowodzili, że utrudnia ona bardziej intensywne produkcję rolną i powstrzymuje rozwój kapitalizmu i proletaryatu. Dla narodowolców był nie pożądanym rozwój wielkiego przemysłu w Rosyi, socjali demokraci zaś przeciwnie, z zupełną słuszością kładli nań wielki nacisk, uważając, że podnosi on kulturę kraju i organizuje robotników do walki.

Do 1891 roku, to jest do roku głodowego, socjali demokraci rosyjscy byli dość nieliczni, nie posiadali ogólnej organizacyi, tworzyli tylko luźne kółka, porozrzucane po całej Rosyi; dopiero ten straszny rok wywołał u nich większe ożywienie.

Wypadki ówczesne były przyczyną wielu złudzeń, ponieważ wogóle doktrynerzy socjal-demokratyzmu uważają rozwój społeczny

za proces żywiołowy, działający wbrew woli ludzi i wierzą, że przeobrażenia w państwie przez nich pożądane muszą nastąpić pod parciem czynników ekonomicznych; więc i niektórzy socjali demokraci rosyjscy wyobrazili sobie, że straszna nędza w 1891 roku, która wymagać będzie wielu wydatków ze strony państwa, skłoni burżuazję, dostarczającą na nie środków, do żądania kontroli finansowej, a to doprowadziłoby musiało do konstytucyi. Jednakże nie zdawano sobie zupełnie sprawy z tego, w jaki sposób burżuazya żądania swoje poprze siłą dostateczną i zmusi rząd do ustępstw.

Wypadki, które zaszły po roku 1891, w niczem naturalnie nie usprawiedliły tych nieuzasadnionych nadziei.

Na tle powyższych rozumowań nowa broszura będzie już zupełnie zrozumiała; przystąpmy więc do jej analizy.

Autor zaczyna od przeglądu różnych warstw społecznych i dochodzi do wniosku, że burżuazya rosyjska jest klasą najpotężniejszą, i cała polityka państwowa jest tylko na usługach tej warstwy. Szlachta, zdaniem jego, nie ma dziś dominującego znaczenia.

Przypatrzmy się tym twierdzeniom.

Faktem jest niezaprzeczonem, że szlachta rosyjska ma dziś mniejsze znaczenie, niż przed laty pięćdziesięciu; z drugiej zaś strony nie można w żaden sposób twierdzić, że znaczenie tego stanu jest niewielkie, a nawet wogóle mniejsze od znaczenia burżuazji. Całe panowanie Aleksandra III. zmierzało do podtrzymania szlachty. Ogromne kapitały, jakie poświęciło państwo rosyjskie dla kredytu szlacheckiego, są wymownym dowodem jej popierania. Nie dość na tem. Bank szlachecki co chwila prawie ogłasza nowe ulgi dla swych niewypłacalnych dłużników. Reforma instytucyi samorządu dokonana w latach 1889 i 1890 miała na celu z jednej strony wzmocnienie kontroli gubernatorów, z drugiej zaś wzmocnienie głosów szlacheckich. Stworzenie posad naczelników ziemskich, mających władzę administracyjno-sądową nad włościanami, kontrolujących samorząd gminny, jest podarunkiem dla szlachty. Prawo wyraźnie zastrzega dla niej pierwszeństwo przy obsadzaniu tych posad.

Wszystkie te fakty dowodzą, że szlachta ma w Rosyi dużo wpływów. Jest to zjawisko bardzo naturalne, rządzi tam bowiem biurokracya, a szlachta i biurokracya w państwie carów — to dwie siostry rodzone. Każdy urzędnik, mający rangę radcy stanu, jest przez to samo szlachcicem osobistym, rzeczywisty radca stanu — szlachcicem dziedzicznym, pozostawiającym swe prawa stanowe dzieciom. Każdy pułkownik jest szlachcicem dziedzicznym przez sam fakt zajmowania tego stanowiska.

W ten sposób służba rządowa w Rosyi jest dziś wciąż jeszcze źródłem szlacheństwa.

Co zaś do burżuazyi, rząd kokietuje ją bezwątpienia, prowadzi przyjazną dla niej politykę celną, poskramia najłżejszy przejaw oporu robotników; ale, chcąc coś przeprowadzić, niezbyt ogląda się i na burżuazyę. Dość wziąć pierwszy lepszy przykład, chociażby wprowadzenie monopolu wódczanego bez wynagrodzenia właścicieli sklepów i składów spirytusu. Wprowadzenie tego monopolu pozbawiło bardzo wielu przedstawicieli burżuazyi zyskownych źródeł dochodu, nie dając im nic w zamian. Prawo, zabraniające nie-włościanom kupować ziemie włościańskie, też nie było korzystne dla burżuazyi.

Po zaznaczeniu przewagi tej klasy autor broszury przechodzi do absolutyzmu i krytykuje, na zasadzie zwykłych ogólników, pogląd, że absolutyzm w Rosyi stanowi siłę odrębną od burżuazyi i klas posiadających. Zauważył on wszakże, że ta forma rządu posiadała w swoim czasie na zachodzie taką siłę, ale ustępstwo to robi prawdopodobnie pod wpływem Marksa, który w kilku mniejszych pracach wyraźnie to zaznacza.

Absolutyzm w Rosyi jest niezawodnie siłą samodzielną, na którą jednak różne odłamy klas posiadających wywierają pewien wpływ. Interesy dynastji i wyższej biurokracyi nadają zasadniczy kierunek polityce państwowej; tradycyjna uległość przed władzą, na którą składała się cała historia, siła materyalna rządu oparta na ciemnocie ludu i politycznem niewyrobieniu sfer inteligentnych, oto podstawy, na których się wznosi samowładztwo carskie. Rząd rosyjski może być uprzejmym dla burżuazyi, może jej otwierać rozległe horyzonty dla zysków, po za tem jednak nie dopuszcza jej do udziału w rządach; nawet z instytucją samorządu miast, gdzie wyłącznie przedstawicielstwo należy do tej klasy i census wyborczy jest duży, rząd postępuje arbitralnie i często nie zatwierdza uchwał rad miejskich.

Pod pewnym względem poglądy autora przedstawiają jednak krok naprzód, mianowicie odrzuca on przypuszczenie, jakoby burżuazyja z własnej inicjatywy domagać się miała konstytucji. Burżuazyi wogóle jest tak dobrze, że niema ona żadnego interesu w domaganiu się ograniczenia władzy absolutnej. Ze zdaniem tem solidaryzujemy się najzupełniej.

Skonstatowawszy, że burżuazyja nie wywoła rewolucji, autor przechodzi do włościan i robotników. Co do pierwszych, zaznacza słusznie, że pod wyrazem „włościanie“ rozumie się masę złożoną

z różnych żywiołów, z których jedne są w warunkach dobrych i nie mają powodów do niezadowolenia, inne zaś — w tak okropnem położeniu, wobec którego byt n. p. robotników fabrycznych jest czemś znośnem. Otóż pierwsze z tych żywiołów nie będą się buntować przeciw rządowi, drugie zaś, gdyby nawet chciały, to uniemożliwiłoby im skuteczne wykonanie tego to, że żyją w rozproszeniu na ogromnych przestrzeniach. W ten sposób, tylko robotnicy, więcej od włościan wyrobieni i skupieni w centrach, mogą dokonać rewolucyi politycznej.

Ale jak, zapytuje autor? Ściąganie batalionów robotniczych w stanowczej chwili do Petersburga jest, zdaniem jego, niemożliwe. Ale gdyby nawet było prawdopodobne, to nie doprowadziłoby do celu, bo Rosya ma trzy razy więcej żołnierzy, niż jest zorganizowanych robotników w całym państwie.

Po tych uwagach autor występuje z następującą propozycją: należy zrobić strejk powszechny w Rosyi; fabryki i kopalnie staną, burżuazya poniesie przez to olbrzymie straty i zmusi rząd do ustępstw; Rosya otrzyma wolność polityczną.

Oczywiście autor przypuszcza, że strejk powszechny posiada jakieś siły magicznej natury, przed chwilą bowiem dowodził, że żołnierzy jest trzy razy więcej, niż robotników, a więc gdyby połączyć bataliony robotnicze, to wojsko by je rozbiło, jeżeli zaś wybuchnie strejk powszechny przy tej samej ilości wojska i robotników, to wówczas armia nie będzie w stanie nic zrobić, a robotnicy będą tryumfowali — logika istotnie zadziwiająca. Wprawdzie autor robi uwagę, że niepodobnaby rozstrzelać spokojnych obywateli za to, że nie poszli do roboty, że wreszcie zabrakłoby miejsca w więzieniach rosyjskich itp.

Nie sądzę jednak, aby rząd rosyjski cofnął się przed prześladowaniem spokojnych obywateli, którzy nie poszli do roboty i urządzili strejk. Kodeks karny zabrania w Rosyi strejków, na małe wszakże rząd patrzy przez szparę, z chwilą zaś, kiedy strejk przybiera większe rozmiary, występuje natychmiast brutalnie, czego dawał liczne dowody.

Zwolennicy strejku powszechnego nie mogli go wywołać we Francyi, gdzie mają organizację jawną, ale w Rosyi socyalni demokraci chcą i myślą wywołać go u siebie, gdzie stowarzyszenia robotnicze legalne nie istnieją i strejki są wzbronione. Nie potrzebowałby rząd ani wszystkich zabijać, ani sadzać do więzienia, dość byłoby licznych starć armii z robotnikami, dla zdziesiątkowania tych ostatnich i wszystko wróciłoby do normalnego biegu.

Teraz zrozumiałą jest teoria autora o absolutyzmie i burżuazji. Uwalnia ona od walki politycznej, dosyć jest bowiem według niej walczyć przez strejk z burżuazją, której będzie on nie na rękę, a warstwa ta, jako wszechpotężna politycznie, sama każe rządowi ustąpić.

W rozumowaniu tem odzwierciadla się znakomicie nastrój psychiczny socyalnych demokratów rosyjskich. Teoretycznie pragną oni konstytucyi, praktycznie jednak chcą uniknąć za jakąbądź cenę walki bezpośredniej z rządem w tej, czy w innej formie i dlatego dowodzą, że absolutyzm nie jest czemś samodzielny i odrębnym od burżuazji, lecz jej narzędziem. Strejk powszechny, importowany z Francyi, jest szczytem ich pomysowości.

Zjawisko to jest dla nas zrozumiałe: tresura, jakiej rząd rosyjski poddał społeczeństwo, nie pozostała bez skutku, spowodowała bowiem zanik wszelkiego zmysłu politycznego.

Ruch robotniczy w Rosyi może skłonić rząd do wydania praw fabrycznych i ministra finansów do tajnych cyrkularzy o wyjątkach, jakie robić należy z tego prawa, ale są to rzeczy, nie mające nic wspólnego z wolnością polityczną. Wiele rzeczy może się zmienić w Rosyi w najbliższej przyszłości, ale nie absolutna władza cara i urzędników.

Wreszcie może krańcowi materyaliści socyologiczni w Rosyi pogodzą się z absolutyzmem i zawołają: „wymagają go stosunki ekonomiczne!”

STANISŁAW GIERSZYŃSKI.

PIOSENKARZE MOTŁOCHU.

(Les chanteurs de la canaille).

Ostatnie chwile ósmego dziesiątka lat bieżącego stulecia są we Francyi — tak w życiu politycznym jak i artystycznym — epoką oczekiwania, epoką niepokoju.

Na północy i na południu Francyi wybuchają strejki. Robotnik nie ma cierpliwości dłużej czekać — i groźnie domaga się natychmiastowych reform społecznych. Ruchy te kończą się anarchistycznymi zamachami Ravachol'a i Vaillant'a.

W świecie artystycznym fermentacja umysłów jest równie silna. — Cała falanga młodych talentów, czeka chwili sposobnej,

aby wydobyć się na wierzch. Stosunek ich do oficjalnych powag literackich i do społeczeństwa burżuazyjnego zaostrza się z dniem każdym. Powstają pisma jak *l'En dehors* Zo d'Axy, *Revue Blanche*, *la Plume*, *Revue libertaire* — i wiele innych, które nie mają jeszcze określonego kierunku i sympatyzują z ruchem anarchistycznym.

Warunki dla tych młodych są nadzwyczaj niepomysłne. Poprzednie pokolenie składa się z ludzi nieskończenie uczonych, wszechstronnych erudytów, z którymi walczyć trudno. Znają oni wszystko. Dzieła które tworzą, są tak wykończone, tak obrobione, że w żaden sposób dorównać im nie można. — Istnieją poeci którzy lata całe piszą jeden sonet; inni którzy greckim językiem władają niegorzej Homera. Inni znów zgłębili wiedzę przyrodniczą i mogą śmiało dorównać zawodowcom.

A tu młoda literatura, po większej części nie kończyła nawet gimnazyów; — o łacinie jeszcze coś nie coś słyszała, ale o greckim języku stanowczo pojęcia nie ma; o naukach przyrodniczych nie ma co nawet mówić. Wszyscy ci młodzi mają tylko to powierzchowne wykształcenie właściwe ludności wielkich miast. Swoją drogą czują, że mają jakąś misję do spełnienia, że chociaż nie są erudytami niosą jednak coś nowego literaturze ludzkości. — Mała więc tylko garstka idzie drogami utartymi przez starych i tworzy mądre dzieła, do których trzeba po tomie komentarzy.

Większa część otwarcie wypowiada walkę — nie stara się nawet dostać do salonów gdzie się panoszą wielkie powagi, ale szuka jakiegoś nowego pola do działania. Stary Verlaine, którego oni jedni dobrze odczuwają pokazał im, że nie trzeba być mędrce, aby zostać artystą, że wystarcza umieć tylko żyć, pełnymi piersiami wdychać życie które wre i kipi do koła, by mieć materiał bogaty, aby tworzyć arcydzieła.

Cała ta młodzież czuje wstręt do tych wielkich rozumnych sfer społeczeństwa. Pragnie tylko powietrza, szuka ludzi, którzy mówią co myślą, wypowiadają szczerze, co czują, miesza się z motłochem wielkiego miasta, przyjaźni się z nim, żywa.

W Kabaretach na Montmartre i w dzielnicy Łacińskiej literaci przyszłości żyją obok prostytuttek, złodziei i włóczęgów różnego rodzaju. Nie mając pojęcia o psychologii lub psychofizjologii stają się oni wkrótce prawdziwymi znawcami serca ludzkiego. Odczuwają i przeczuwają rzeczy, których na razie zrozumieć nie mogą.

Widzą coraz jaśniej, że wykwintne utwory wielkich powag, tych mistrzów techniki — to ładne ramki, w których obrazu nie ma — to dzieła którym braknie duszy: Literatura oderwała się zanadto od życia, zamknęła się i żyła w mózgach artystów: teraz cierpi na anemię. Nowej potrzebuje krwi, nowej duszy by zmartwychwstać i odrodzić się.

Wychodzą więc na widownię nowy niosąc ideał. I jakby na przekór delikatnym uszom przyzwyczajonym do salonowego języka Bourgetów, Renanów, Anatole France'ów śpiewają w „argot“ „języku zielonym“ (*langue verte*) paryskich andrusów.

W r. 1890 Arystydes Bruant zakłada kabaret *le Mirliton*, w którym nagle zaczynają się rozlegać dzikie, na całe gardło śpiewane melodye z bulwarów zewnętrznych. Po melancholijnych bezkrwistych utworach „Hydropatów“ mają one w sobie jakąś prymitywną siłę, która elektryzująco działa na zblazowane tłumy. Bohaterzy Bruanta to kanalia, która się zbiera na Belleville-Ménilmontant, koło placu Maubert — opiewa on prostytutki — ale nie te poczciwe gryzетки które uwiecznił Mürger. Jego prostytutki to nędzarki, które można spotykać nocami koło Hal, na bulwarze Sebastopolskim i innych oddalonych dzielnicach Paryża*). Obok nich widać groźne postacie „sutenerów“ czyhających na bogatego przechodnia. Dalej idą inni bohaterowie przedmieść: wieczne chodziki co w dzień się włóczą, jedzą jak się trafi a w nocy sypiają pod mostami. Żołnierze z dyscyplinarnych batalionów z Afryki, mordercy, złodzieje, — oto środowisko, z jakiego Bruant czerpie natchnienie do swych poezyj.

Poszedł on w rynsztoku, w ściekach dzisiejszych ustrojów, szukać prawdy i szczerości. Pierwszy zaczął dowodzić, że i motloch ma prawo rządzić się własną etyką jak inne warstwy społeczne, że on także czuje — cierpi — kocha — pragnie, więc ma także prawo do życia.

Rzecz jawna, że w tem *milieu* rozbitków różnego rodzaju — inteligentnych i nieinteligentnych, w tym tłumie bez nazwy, na który nikt dotychczas nie zwracał uwagi — w tem *milieu* niezdrowem po trosze nie mogło urodzić się od razu coś wielkiego, wzniosłego. Poezye Bruanta rażą też nieraz zbytym realizmem.

Wartość poezyj Bruanta jest niezaprzeczona. Mają one duszę, tryskają życiem. Utwory „*Le grelotteux*“ „*Heureux*“ „*A Biribi*“ są po prostu arcydziełami.

*) p. K. Radosławski, Proletariat uliczny i jego poezya miłosna. Krytyka 1896. Czerwiec.

Drugim poetą motłochu, który również pisze i śpiewa w „*argot*“ jest smętny Jehan Rictus; ten jest bardziej subtelny, głębszy od Bruanta.

Bohater jego — to nie zwyczajny typ z bulwarów zewnętrznych, który ostatecznie godzi się z losem, żyje z prostytucji i kradzieży i tylko wtedy występuje do walki ze społeczeństwem, gdy zanadto jest przyciśnięty do muru — to typ znacznie szlachetniejszy, typ marzyciela-włóczęgi, który od rana do nocy sunie przez wielkie miasto; głodny, obdarty przechadza się wśród otaczającego go zewsząd zbytku. Ekwipaże bogatych obryzgują go błotem — a on wiecznie idzie przed siebie „*Comme un paquet de rancoeurs.*“

Nie zdolny jest nawet do buntu, bo przestał dawno wierzyć, aby kiedyś miało być lepiej. Zapatruje się sceptycznie na wszelkie reformy społeczne, bo

*Quand un larbin y parvient maître,
L'est cor pus muffle que son patron.*

A jednak ten człowiek, zbity, znękany, ten lachman żyjący, czeka jeszcze na coś. — Na co?... sam nie wie. Na miłość może?... Może na urzeczywistnienie jakichś ideałów wylęgłych na dnie jego biednej duszy. Idzie wciąż — w nadziei, że ją spotka. Ją! kogo?...

*Qui c'est? J'sais pas, elle est si loin
Elle est si pâle dans l'soir qui tombe,
Qu'on jur'rait qu'a sort de la tombe.*

*.....
Mais a force d'errer et d'muser
Su des kilomet's de bitume,
Que qu' soir d'horreur et d'amertume
Ej m'cognerai p'têt dans son baiser.*)*

Skarga tego nędzarza, tego pariasa — to nie zwyczajna już skarga włóczęgi, który umiera z głodu i zimna, — to skarga współczesnego człowieka, który stracił wiarę we wszystko, nawet siebie i który marzy jeszcze o czemś... co przyjdzie gdzieś z oddali... i czasem się wzdryga, bo czuje, że to chyba będzie śmierć...

Krwawą ironią chłosta Rictus burżuazyjne społeczeństwo rzeczypospolitej. Kpi z dziennikarzy i z deputowanych, którzy na nędzy drugich robią interesy. Obluda, jaką wiecznie spotyka, drażni go i oburza.

*) Kto to jest? Nie wiem; jest tak daleka i tak blada w zmierzchu wieczornym, że przysiędźby można, iż powstała z grobu... A może błędząc mile za milami po bruku — jakiegoś wieczora pełnego trwogi i gorczy, dotknę jej ust.

Raz zdaje się jego nędzarzowi, że spotkał Chrystusa. Wdaje się więc z nim w rozmowę. Po wstępnem przywitaniu dziwi się, że Mistrz tak źle wygląda :

*Ah! comme t'es pâle... Ah! comme t'es blanc,
Ah! comme t'es pâle... comme t'as l'air triste.
T'as tout a fait l'air d'un artiste
D'un de ces poireaux, qui font des vers
Malgré les conseils les plus sages,
Et qu'les bourgeois guignent de travers
Jusqu'a ce qu'ils fassent un riche mariage.*

*...
Ah! comme t'es pâle... Ah! comme t'es blanc...
Tu grelottes, tu dis rien... tu trembles.
T'as pas bouffé sûr... ni dormi!
Pauvr vieux, va!... si qu'on serait amis?
Où veux-tu qu'on ballade ensemble? ¹⁾*

Pokazuje Chrystusowi miasto, które płonie od świateł, z którego dochodzi ryk machin, wycie lokomotyw i statków parowych i woła ironicznie...

*Quoi tu pens's de not' société?
Des becs de gaz... des electriques.*

...N'en v'loin des temps heroïques! ²⁾

a dalej słyszymy jęki i gwar :

*C'est le cri de l'usine en mal d'enfant,
C'est l'Desespoir actuel qui beugle! ³⁾*

Zrazu nędzarz rozmawia z Galijejczykiem, jak z bratnią duszą, jak z podobnym sobie „pauvr panné“, który nosił kiedyś po

¹⁾ Jakiś Ty blady, wynędzniały. Jakiś ty blady!... Jakąż masz smutną twarz!... Wyglądasz zupełnie jak artysta, jak jeden z tych głupców, którzy mimo najmędrzych rad piszą wiersze, a burkuje krzywo patrzą na nich, dopóki się bogato nie ożenią...

Jakiś ty blady, wynędzniały...

Febra Cię trzęsie, nie mówisz nic... Drżysz cały... Nie jadłeś, to pewna, ani spałeś. Biedaku!... A gdybyśmy tak zostali przyjaciółmi? Gdzie chcesz się ze mną powłóczyć?

²⁾ Cóż sądzisz o naszym społeczeństwie?
Światło jasne, elektryczność...
Dalekośmy zaszli od bohaterskich czasów.

³⁾ ...To fabryka krzyczy w porodzie,
To rozpacz dzisiejsza wyje.

świecie swe sny i marzenia de „*pauvre halluciné*“, ale wreszcie przypomina sobie, że Chrystus nawoływał także do pokory, do podania się losowi i nagle oburzony woła :

*Arrière, arrière n'vas pas pus loin !
Y vient un temps où tout s'fait vieux,
Où les plus belles choses perdent leurs charmes.*

*Qu'on m'tue ou qu'j'aïlle en prison,
J'm'en fous, je n'connais pus d'contraintes,
J'suis l'Homme Modern, qui pouss'ne plainte,
Et vous savez bien qu'j'ai raison. *)*

Po Rictusie niema już poetów śpiewających w „*argot*.“ Za to idzie cały szereg innych, których poezye proste, bezpretensjonalne, śpiewane przy akompaniamencie fortepianu, tworzą bodaj czy nie najartystyczniejszą część produkcji literackiej w dzisiejszej Francji.

Xavier Privas śpiewa te tłumy inteligentnego proletaryatu, który przesuwają się po ulicach Paryża (*Les Resignés*). Wyszędzeni, wykpiwani, obdarci — poeci, muzycy, malarze, którzy nigdy niczego nie stworzyli i nigdy niczego nie stworzą, bo przyszli na świat nad brzegiem mętnego ścieku i nędza zabiła w nich twórczość — idą z błyskawicą w oku, pieszcząc chimery, olśnieni pięknosciami wymarzonych przez siebie światów.

Są jeszcze poeci, piosenkarze, którzy kołysają znękaną duszę ludności wielkich miast tęskniami, smętniami jak szmer fali pieśniami chłopów bretońskich. Inni, jak Marcel Legay, którzy wywołują wizje dawnych rycerskich czasów. Jest ich teraz plejada. Zbierają się na Montmartre w *Quat z'arts* i w *Cabaret des Arts*, w dzielnicy łacińskiej w *Noctambules*.

Co po tym ruchu piosenkarzy nastąpi? Czy nie jest on ostatnim przedśmiertnym śpiewem ludzkości wielkich miast, która się dusi, której brak powietrza, która zaczyna mieć świadomość swej niedoli i marzy o nowych światach, o naturze? — Nie wiem. W każdym razie — ruch piosenkarzy, to ruch, którym się wypowiedziało mnóstwo silnych talentów, to ruch, który pozwolił żyć życiem artystycznym tysiącom wydziedziczonych.

*) Stój, stój... nie idź dalej. Nadchodzi czas, gdy wszystko się starzeje gdy najpiękniejsze rzeczy tracą swój wdzięk.

Niech mnie zabiją lub wsadzą do więzienia, plwam na to; nie znam więcej więzów; jestem współczesnym człowiekiem, co się skarży i wiecie dobrze, że mam słusność.

Dzisiaj jeszcze, jeżeli chcemy poznać społeczeństwo francuskie, zrozumieć jego duszę, w piosenkach tych znajdziemy jego wyraz najzupełniejszy. Tu pomieszane jest południe z północą — tu obok gaskońskich słyhać bretońskie melodye, obok rycerskich hymnów Marcela Legay, quartierowe „chansons“ Leo-Lelievra, albo poezye „ponurego poety“ Massol’a, które chyba tylko w mózgu szaleńca, albo rozkładającego się trupa powstać mogły — tu wszystkie klasy społeczne w jednym splecione żyją uścisku.





LUŻNE KARTKI.

Lwów, w marcu.

(x). Wybory uzupełniające do Sejmu. Miał się unosić nad nimi duch poprzedniego posła, Franciszka Smolki, lecz mieszczaństwo spoliczkowało go, odpędziło, w jego miejsce sprowadziło ducha ze znanym orzełkiem.

Po Smolce — Piętaś. Po lwach — hyeny. O wielki Flaubercie!

Właściwie nawet nie Piętaś. Sejm go będzie widział — na bankietach. A Lwów będzie reprezentowany przez niedołęstwo, inercję, wyschnięcie szpika. Stare, stare nasze mieszczaństwo, choć nie ma jeszcze lat pięćdziesięciu! Najwyższa oznaka starości: niezdolność do wydania potomka. Zwąchało się tedy z dewotką z „Czytelnicy katolickiej“ i jej ukryty, wstydlivy przyjaciel postarał się o — „syna naturalnego“. Więc pan Piętaś.

Chrzcziny wspaniałe. Kogóż na uroczystości prawdziwie mieszczańskiej nie było? Był pan feldfelbel z policyi, kilku woźnych ze sądu, dwóch prawdziwych pisarzy magistrackich i dużo znakomitych obywateli: od dratwy, blachy, od kiełbas. Nie brakowało także pocziwego żyda; był potrzebny, więc poszturkiwano go tylko zlekka. Pito, wyrzekano się dyabła i składano życzenia, by nowo ochrzczony dobrze się chował. Suto honorowana kompania o niejasnej tajemnicy jego pochodzenia nic oczywiście nie mówiła. W toku uroczystości zdarzały się awanturki: nie jeden z gości — okazało się — wkradł się bez właściwego zaproszenia, inny coś wetchnął za cholewę, dobra kompania prędko to jednak zatuszowała. Między swojakami, panie dobrodzieju...

A za oknem — czarniawa, hołota.

Tej hołoty było 2.000, porządnych obywateli 3.000. Mój Boże! Trzech przeciw dwom, to wystarczy, by zwyciężyć, nie wystarczy, by mieć spokój. Trzech przeciw dwom — więc i to zwycięstwo na włosku... Ktoby to był przed rokiem powiedział! Ten stosunek daje do myślenia. Przytem „ten trzeci“ trochę niepewny... Kto wie jak jedna tysięczka obywateli byłaby głosowała, gdyby nie miała z tyłu — vice-szefa, który

do ataku prowadził, z przodu — szefa, zaproszonego do komisji wyborczej, po prawej — profesora Thulliego notującego nazwiska, po lewej protokolanta, żądającego, jak przy ślubie, głośnego, publicznego: tak... Kordyan, zakradający się do cara, nie słyszał tyle widm. A oni — Kordyanami, dalibóg, nie są...

Ale tymczasem górą nasi. Pijcie, kumie!

* * *

Opozycja galicyjska może mówić o wielkiem zwycięstwie. Oto, co we Lwowie osiągnęła:

Odkryto zupełnie karty.

Wielu n. p. ludzi łudziło się jeszcze w Galicyi co do charakteru naszego małomieszczaństwa. „Kuryer Lwowski“ był dla nich dotąd synonimem opozycji. Trochę ograniczonej, łyczakowskiej, ale szczerzej, bo uczuciowej. Okazało się, że ta pocziwa ograniczoność jest sztuką lisią. Ci sami ludzie, którzy 8 marca w Bochni pomogli ks. Stojałowskiemu zdobyć mandat, we Lwowie nie mieli ani słówka na poparcie kandydata opozycyjnego. Bochnia i Lwów 8 marca 1900 — to dwie plamy hańby na czole ludowców, które, jak Kaina, będą ich piętnować na całą przyszłość. A redaktor „Kuryera“, prezes gal. „Towarzystwa demokratycznego“, perfidyę partji w dodatku połączył z prawdziwie małomieszczańską śmiesznością i jedyny z pośród kilku tysięcy oddał głos na... akuszera.

To — małomieszczaństwo. Natomiast okazało się, że wielkomieszczaństwa Lwów ma więcej, niż przypuszczano. Ze świata przemysłowego i inteligencji oddano na kandydata opozycyjnego (odliczając głosy żydowskie) około 1.000 kartek. Czyż to nie jest odkryciem? Więc i u nas jest materiał, z którego utworzyła się partja realistów w Czechach, socjalno-polityczna w Wiedniu itd. To odkrycie jest historycznem, może stanowić epokę. Może... jeśli zostanie wyzyskanem. I na to się zanosi. Wniesiono już do namiestnictwa statut zawiązać się mającego „klubu reformy“. Więc z mgławicy wyborczej — planeta. Rozproszone, wirujące cząsteczki będą ku niej grawitować. Poczują siłę — siłę wzmocnią sobą. Wejdziemy na tory normalnego rozwoju.

Jeszcze jedno zwycięstwo: rozbito solidarność żydowską. Interesa zwyciężyły nad frazesami. Kahał poszedł z kahałem katolickim, plutokracja z oligarchią, niezależna inteligencja i proletaryat zjednoczyły się pod hasłem kultury — nie rasy.

A jawne, nagie wleczenie ludzi za kołnierz urzędowy do urny — ta przemiana obłudy w gwałt cyniczny — czy to nie dowód słabości urzędowej siły, nie rozpacz jej i konwulsja? W wieku dwudziestym ludzie, czujący w sobie siłę, tego nie zniosą.

A ponad tymi wszystkimi faktami wznosi się najdonioślejszy: socjalizm wyszedł z roli wojującej organizacyi robotniczej i wysunął się na czoło partji reform w Galicyi.

Chwila jest dziejową.

* * *

Brutalność cyfr — jak gdyby tu szło o wybór do sejmu — rzadko została nadużyta tak, jak w sprawie teatralnej. Toczy się ta sprawa pod hasłem: Heller, czy Pawlikowski?

Heller, dyrektor od lat czterech, ma bezwątpienia zasługi. Po Zygmuncie Przybylskim i Henryku Szydlowskim objął teatr, w którym nie było płac regularnych dla artystów, honoraryów dla autorów, ni sztuk, ni reżyserji, a najmniej już publiczności. Zrobił tedy wszystko, co dobry administrator robić powinien: zaprowadził prawidłowe funkcjonowanie maszyny i nauczył ludźki chodzić do teatru. Tu jednak granica zasługi. Teatr był, a co w tym teatrze? W odpowiedzi słyszymy: w r. 1895 było osób w teatrze około 135.000, w r. 1896 — 161.000, w 1897 180.000, w 1898 — 203.000, w 1899 przeszło 240.000.

Pomijając okoliczność, że większą część przyrostu „osób“ należy przypisać zaprowadzonym przez obecną dyrekcję popołudniowym przedstawieniom sobotnim, przeznaczonym dla młodzieży szkolnej, pozostaje właśnie pytanie: co te dziesiątki tysięcy w teatrze miały za repertuar? Jaki — i jak grany?

Otóż z ostatnich dwóch lat przypominam sobie tylko dwa przedstawienia, które istotnie wyprzedzono repertuar krakowski i wzniesiono się na poziom europejski; są nimi „Dzwon zatopiony“ Hauptmana i „Upiory“ Ibsena. Zresztą mieliśmy ten sam repertuar, co teatrzyki wędrownie; trochę wcześniej, znacznie lepiej grane; ale i nic ponadto. Wielki ruch w literaturze dramatycznej polskiej, który przed dwoma laty i przed rokiem pozwalał mówić o renesansie dramatycznym u nas, dla Lwowa nie istniał. Nie znamy „W sieciach“ i „Sonaty“ Kisielewskiego, „Familii“ Niemojewskiego, „Koła“ Rydla, sztuk Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Szukiewicza. Gdyby wszyscy ci mieszkali i pisali we Lwowie, nie byłiby się na scenę tutejszą nigdy dostali.

Nie znamy treści, nie znamy formy nowszej scenicznej. Ensemble u nas nie istnieje. Rzeczy wzniosłe przemienia się w barbarzyństwo. Trzeba być na przedstawieniu „Króla Lira“ (z p. Czaplińską lub Ogińską, jako następczynią Modrzejewskiej w roli Kordelii) lub „Kordyana“ przemienionego w melodramat, aby wiedzieć, co to profanacja. Publiczność nie czuje sugestji, entuzjazmu — tożsamo artyści, więc się cofają. Nie wyrobił się u nas w ostatnich latach ani jeden talent. Mamy tylko jedną wielką artystkę, p. Gostyńską, wystrzelił tylko p. Chmieliński, któremu nadużywanie go grozi zmanierowaniem — wszystkie młodsze i starsze siły (nie wyłączając Gustawa Fiszera) albo ugrzęzły, albo idą wstecz.

Jedyna chwała obecnej dyrekcji: opera — w ostatnich dwóch latach zeszła na tak niski stopień, że ludzie muzykalni na przedstawienie operowe nie chodzą. Ostatnim razem można było usłyszeć dobrą operę przed pięciu kwartałami, za bytności Bandrowskiego.

Taki jest stan rzeczy. To na jednej szali — na drugiej p. Pawlikowski. Języczkiem u wagi jest mieszczaństwo naszej Rady miejskiej, „Strzelnica“. O jej znawstwie i zamiłowaniu teatralnem potrafi coś powiedzieć — najwyżej operetka. Ale za nią stoi hrabia-marszałek, który się oświadczył za p. Pawlikowskim.

Mimo tego poparcia — były dyrektor sceny krakowskiej pozostaje uosobieniem artyzmu, duszy, zapachu. Lwów nie jest miastem, któreby

było dojrzałe do przyjęcia wielkiej sztuki. Tu niema tej kultury, co w Krakowie. Tem bardziej potrzebny duch nowy, reformator, bodaj przebojem idący rewolucjonista artystyczny; tonami operetkowemi i melodramatami, choćby tak pięknemi, jak „Cyrano“, „Joannes“ i „Sybir“, filistra się nie obudzi. Zrobi to tylko prąd gorący, płomienny.

List z Warszawy.

(n. i.) Czy pamiętacie, jak Napoleon pod Berezyną palił sztandary. Żywioty nieba i ziemi sprzysięgły się przeciw niemu. Wróg ścisnął armię jego żelaznym pierścieniem następujących rot i oddziałów kozackich, ale straszliwszym pierścieniem ścisnęła ją zima, odejmując odwagę największym bohaterom. Wódz, posępny jak noc, siadł na bębnie przed ogniskiem. Przystępuje chorąży za chorążym, wyciąga sztandar nad płonącym stosem — wojsko oddaje honory — i skwierczą w ogniu słynne godła bojowe z pod Marengo, Austerlitz, owiane czarem zwycięstw, otoczone aureolą tyłu pochodów — płonie sława Francyi, laur jej armii! Armia wyginie, ale sztandarów nie odda! Żołnierz-bohater wyżej ceni siebie w historyi niż siebie w życiu. A wódz co uczynił? W jakiś czas siadł do sanek i przez Litwę, Królestwo pędził do Paryża kuć dalej swoje losy na kowadle Francyi.

To było... ile lat temu? Dawno, och. dawno, tylko Fałat z Kosakiem przypomnieli nam to niepotrzebnie w swojej panoramie. Niepotrzebnie... bo wszelkie palenie sztandarów jest zaraźliwe jak gruźlica, jak koklusz. Jeżeli się człowiekowi wrażliwemu pokaże fotografię zmarłego na cholere, to on po chwili na pewno zacznie odczuwać najpierw przeróżne obawy, następnie lekkie mdłości a w końcu zawezwie lekarza. Tak działa cholera — a cóż dopiero palenie sztandarów!

Dziś, w wieku bolesnej parody, jawnej ciszy i podziemnych wstrząśnień, wodzowie nasi nie miewają posępnej twarzy Napoleonów, Berezyny ich dzieją się u notaryuszów przy rejentalnej cesyi pisma, palenie sztandarów za pomocą jednego machnięcia piórkem a zamiast ucieczki do Paryża mamy ucieczkę do Kuryera Warszawskiego. Wódz demokracji zdejmuje ciasny mundur, szyty z aspiracji i ideałów, składa nieintratną szpadę i z redaktora-działacza staje się dziennikarzem-reporterem, w Kuryerku modyfikuje do właściwej miary nieco krzykliwy głos ludowca i — i — i...

I nic!

Dalsze jego losy nas nie interesują. On pragnął tylko być człowiekiem tuzinkowym. I był nim, był wciąż. Ogień bojowy oblekał go zewnątrz blaskami, ale wewnątrz? Wewnątrz był pomalowany na szaro i dobrze się stało, że tę szarość uzewnętrznił. Pozostało tylko dla nas jedno doświadczenie więcej, tem boleśniejsze, że niepotrzebne.

Tak, niepotrzebne. Od jakiegoś czasu począł się wkradać do naszej demokracji oportunizm jako idea polityczno-społeczna. Gorętsze serca odrazu protestowały przeciw niemu, przewidując następstwa. Ale gorące serca posiadają tylko wysoką ciepłotę a oportunizm całe rusztowania sofizmatów, mądrość polityczną, przebiegłość, spryt — a sprytu,

sprytu zawsze brakowało Polakom! Importujmy spryt, bodaj rodził się kamieniu, bodaj wszystko, na co patrzymy, zamieniło się w spryt! A jaki rezultat? Oto pismo demokratyczne, ideowe, mimo wszelkich wad potrzebne, mimo licznych błędów zasłużone, pismo, będące istotnie wykładnikiem ogromnej grupy społecznej, nagle, w chwili nawet krytycznej, zwija sztandar a jego redaktor literacki idzie na służbę do tych, których przed kilku tygodniami jeszcze, o ile cenzura na to pozwalała, mieszał z błotem jako społecznych pasożytów...

Czyż mamy dodać, że pismem tem był „Głos“ a redaktorem literackim p. Zygmunt Wasilewski?

„Głos“ nie przestał istnieć; ujęli go w ręce inni ludzie, przeciwko którym bynajmniej nie zamierzamy w tej chwili występować. Nie znamy ich bowiem i pora oceny ich działalności nie nadeszła. Ale w okopach demokracji powstał mimo to wyłom. Zniknął z widowni jeden pułk, mający swoją historię, nieraz w znaczeniu ideowym burzliwą, ale uczciwą, bo jego oficerowie słowo popierali czynami; zarówno za słowa jak i za czyny umieli mężnie cierpieć. Takiego pułku szkoda a tem większa szkoda, że zginął tak... po kupiecku.

Co poczną ze sobą oficerowie tego pułku? Dowiemy się niebawem. I dla nich jest to cios. Wiedzą bowiem, że w rozproszeniu działalność ich nie będzie tak owocną.

Czy „ostatnie dni“ tej demokratycznej Pompei otworzą oczy naszym politycznym oportunistom z obozu demokratycznego? Czy uwierzą nareszcie w jedno: że stronnictwa ideowe powinny przede wszystkim patrzeć na charakter ludzi, którymi się posługują, i dopiero wtedy korzystać z ich talentu? Wasilewski był zwykłym profesjonistą, pasowanym na rycerza idei. Pancierz ciążył mu, więc go zdjął bez skrpułów. W kołach, znajdujących go bliżej, fakt ten prócz zawieruchy językowej nie wywołał żadnego zgorszenia. Ale dalej, dalej, w tych masach bezimiennych, jak patrzą ludzie na podobną abdykację i to w chwili gremialnych aresztowań, przypominających coś w rodzaju proskrypcyi?

Na szczęście brak u nas czasu do pesymistycznych rozmyślań. Warszawa zanadto cierpi naprawdę, aby miała oddawać się bólowi drobnym, lub urojonym. Kto umie spojrzeć głęboko w jej oczy a przez jej oczy w jej duszę, ten nigdy o niej nie wątpi. Ona, spętana, ujarzmiona, otoczona niewidzialną siecią szpiegów, pokrajana na rewiry przez setkę wstrętnych instytucyi, pozostała nietylko stolicą Polski, ale jedną ze stolic w ogóle i w pracy duchowej ludów bierze udział czynny, owocny! A kto kiedykolwiek dla niej cierpiał, o tym ona nie zapomni! Nie ta Warszawa z Kuryerów, kędy poszedł p. Wasilewski, ale ta półmilionowa, ta na pozór niezorganizowana, a jednak tak dziwnie zjednoczona, że każde uciśnięcie najmniejszego jej atomu w ciągu jednej nocy staje się wiadomem wszystkim i — i — i...

I natychmiast dzieje się, co potrzeba.

Ktoś powiedział, że wszystkie rzeki zlewają się do morza a wszyscy oportuniści uciekają do Kuryera Warszawskiego. Ile razy przechodzę obok gmachu tego pisma, zawsze zdaje mi się, że czytam na ścianie: „Tu leży s. p. redaktor literacki pisma demokratycznego, były ludowiec... Prosi o westchnienie“...

Paryż, w marcu.

(*Ign. Sep.*) Kulig! tu tłusty tydzień już wyszumiał. Czekamy na ostatki, Mi-Careme. Będą fety, kawalkady. Paryż się dopiero na dobre rozbawi. Szukają teraz królowej, szukają także króla karnawałowego. W republice bawią się królem jak lalką duże dzieci.

Tłusty wtorek, Mardi gras! Należy też tłusto jeść! Poszedłem tedy do restauracyi orientalnej i zjadłem tam po raz pierwszy w życiu prawdziwie syntetyczną potrawę *bouillabaise*. Pochodzi ona z Marsylii, a posiada więcej jeszcze zalet niż nasz bigos polski. — Zjadłszy, zacząłem myśleć — tak, jak się tego z szematu materialistycznego poglądu na świat nauczyłem.

Myślałem o wielu rzeczach, a nawet nowy system filozoficzny stworzyłem.

Skonstantowałem przedewszystkiem, że zamierzony cel rzadko odpowiada skutkowi. I tak:

Mardi Gras. Boul-Mich, krzyczy, wielkie bulwary wtórują mu swym hałasem i zgiełkiem kosmopolitycznym. Paryż się rozbawił. Confetti, węże z papieru, jeszcze raz confetti, ocean cały papieru i papierków. Dziewiczy, olbrzymi las, w którym zamiast od drzew — gęsto od ludzi się roi, a zamiast węzów jadowitych węże z papieru się wiją. Maski, wesołe gryzетки, bohemy, dandysi — wszyscy krzyczą, hałasują, tańczą.... A na Montmartrze — co się tam nie dzieje? Panie Boże! W Moulin Rouge istne orgie!... Aż wstyd o nich pisać!

Bawią się ludzie. Republika burżuazyjna pozwala swym obywatelom na zabawy, liczbę ich sama zwiększa. Republika daje *circenses*, żeby lud zapomniał o drugiej potrzebie i nie krzychał: *panem!* Może socjalizm da jedno i drugie? Może socjalizm bowiem będzie tym uspołecznionym cezaryzmem, który... A potem? Potem powtórzy się znowu ta odwieczna tragikomedya, która ludzi to w karłów to w olbrzymów przekształca. Tak, socjalizm będzie tym uspołecznionym cezaryzmem. Świadczą o tem słowa socjalistycznego posła Vaillanta: *L'action socialiste, c'est la dictature de la classe ouvrière*. Bizantyńczyk w sztuce Rémy de Gourmont widzi w słowach tych zapowiedź nawały małych a dzikich Atyłów z pod czerwonego sztandaru na cywilizację. Ludzie przywykli we wszystkim zło tylko węszyć. Czemaż się ma socjalizm aż tak kiepsko skończyć? Czemuż *eleuterya* p. Lutosławskiego nie ma być ostatnim jego wyrazem, czemuż nie lepiej jeszcze *antropokracya*?

Przepowiada kilku proroków epokę antropokracyi. Każdy z nich śpiewa jak młody Signoret:

*„Je suis l'homme des civilisations prochaines
Celui que l'humanité provisoire dédaigne,
Celui que l'humanité deviendra“.*

Każdy z nich myśli jak Renan:

„Consolez vous, victimes: un dieu se fait avec vos larmes.“ Nie są to Pytłasińscy, są to raczej bohaterzy o najwznioślejszych ideach i najszerszych uczuciach. Gardzą *pornokracyą* Ropsa, a potęgi zła uznać nie chcą.

Potęgi zła!

Wiecie państwo, że Huysmans wstąpił do Benedyktynów. P. Huysmans nazwał sztukę G. Moreau „onanią spirytualną“, — bo satanista nie zdolny pojąć arystokratyzmu ducha. Mierni burżuje wyzyskali to słowo i protestują teraz przeciwko otwarciu muzeum G. Moreau, którego bym śmiało nazwał neo-romantykiem w sztuce, wzbogaconej przezeń całym przepychem poezji wschodniej. Kto widział dzieła G. Moreau, a czytał Epipsychidion Przybyszewskiego — ten powie, że ta sama fantazja stworzyła taką magiczną stylizację. Tyle drogich kamieni!... G. Moreau do nieba leci ze swoimi obrazami, ale... sen go wciąż powala na ziemię. Śni on o dalekich krajach wschodnich, śni, boskie, miłe, cudowne legendy. Marzy o Salomei, o Helenie pięknej, oprowadza poetę po rozmaitych ścieżkach życia, niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika i kojarzy go z boginiami, muzami, syrenami.. Sny i marzenia to państwo tego malarza. — Satanista Huysmans nie mógł inaczej nazwać, jak nazwał sztukę G. Moreau, — bo satanista jest tylko społecznikiem, a satanizm — społecznikowaniem *à rebours*. Wolę już społecznikowanie *en avant*, choć ani pierwsze, ani drugie ze sztukami nie ma nic do czynienia

Na Batignolles wznosi się kapitol polski — (Szkoła polska batignolska). — Pilnują go gęsi, nie straszne, bo już gęgać przestały. Można tanim szturmem zdobyć tę twierdzę, wystawioną za pieniądze narodowe i obrócić na cele lepsze, niż na udzielanie synekur niedołęgom, i wychowywanie kilkunastu dzieci zfrancuziałych polaków. Jak te dzieci ładnie śpiewają: Etcze Polska nie zgięła!... Słyszałem na obchodzie styczniowym. Krociami gęsi rozporządzają (powtarzam, że należy tę twierdzę zdobyć a nie bać się, bo gęsi nie zbudzą od lat już śpiącego w grobie króla Adama I) — tak, krociami rozporządzają. Dali by mi je, tobym generację antropokratów stworzył i stypendya rozdzielał. Najmniej bym dawał studentom socjologii, bo socjologia stała się dziś nauką dla każdego szewca dostępną, trochę więcej specjalistom, ale bez porównania więcej blagierom literackim, bo ci mają najbujniejszą fantazję. Najwięcej zaś filozofom i artystom, bo ci nie zdolni na życie zapracować. Mogłaby o tem pomyśleć Rada stypendyalna w Rapperswyłu.

Istnieje w Paryżu polskie stow. literacko-artystyczne. Ilu ono literatów, a ilu artystów liczy — nie wiem, bo do tego cechu nie należę. Wiem tylko o istnieniu kilku a nimi są: Lorentowicz, erudyta Bugiel, socjolog Krauz, fejletonistka p. Nossig, znana czytelnikom z listów paryskich w Gazecie Lwowskiej, p. Krzywoszewski, korespondent „Kraju“ i p. Waliszewski, autor niedawno wyszłego dzieła we franc. języku o literaturze rosyjskiej. Skarży się on w Kraju na p. Wyzewę, że się literaturą polską wcale nie zajmuje. Czemuż nie pisze dzieła o literaturze polskiej? Może mu je Collin wyda? Ponadto wymienić muszę nazwisko profesora Gasztowta, który dość marnie przetłumaczył na język francuski Pana Tadeusza.

Z młodych żyją w Paryżu pp. Kisielewski, Wize i Lew z Warszawy.

P. Stanisław Gierszyński, student wydziału literacko-filozoficznego w Sorbonie paryskiej objął niedawno temu redakcję „Wolnego Głosu“,

który się przez to nie tylko wymknął z rąk niedołącznym mamutom — ale dostawszy się w ręce młode a energiczne, odrazu się przemienił w pismo poważne i postępowe. Skupia p. St. Gierszyński młode siły koło siebie, by mózż także działem literacko artystycznym to pismo rozszerzyć.

Przegląd teatralny.

(J. Ż.) Czytanie rękopisów nadesłanych na konkurs musi sędziów niesłychanie nużyć, kiedy doprowadza ich aż do zupełnej zatury zmysłu krytycznego. Bo tem chyba można sobie wytłumaczyć odznaczenie na konkursie im. Ignacego Paderewskiego sztuk takich, jak wystawiona w przeszłym sezonie *Biała gołąbka* pana Jozafata Nowińskiego, lub *Błędne gwiazdy* popelnione przez p. W. Lewickiego, któreśmy w pierwszych dniach marca musieli na scenie krakowskiej oglądać. Autorowi wolno było napisać marnotę i w naiwności posłać na konkurs — dyrekcji teatru „wypadało“ ją wystawić, skoro już odznaczona została, ale sędziowie! sędziowie! Stek reminiscencyi niezręcznie w całość skleconych, niedołączna akcja przeplatana strasznie mądremi i uczuciowemi tyradami w najniepotrzebniejszych miejscach, zachwycająca naiwność w przedstawieniu ludzi i wprost rozczulająca nieznanomość psychologii — oto są *Błędne gwiazdy*! Dlaczego właśnie „Błędne gwiazdy“!? — tego zdaje się nikt, nawet sam autor nie wie. Ale publiczność nasza oklaskiwała sztukę na pierwszym przedstawieniu z zapalem. Daj jej Boże zdrowie! Na trzecim za to były już pustki. Artyści robili, co mogli, ale z próżnego pono i Salomon nie naleje. Wysilki Siennickiej i Tarasiewicza, poprawna gra Romana i doskonała Solskiego nie mogły sztuki uratować. Szczerości i prawdy nie podobna było wlać w przedstawienie postaci, które z winy autora nie miały w sobie ani szczerości ani prawdy.

Ogromne pole popisu otworzyło się za to artystom naszym w *Potęrze ciemnoty* starego Tołstoja. Wielki myśliciel i maniak, mistyk i poeta patrzy tu na świat swój własny, rosyjski, własnymi oczyma — ale wzrok jego sięga głęboko, aż tam, gdzie drzemią najtajniejsze fibry ogólnoczułowieczej duszy. „Potęga ciemnoty“ — to jest źle przetłumaczony tytuł. Właściwie oznacza, zdaje się, w tem miejscu ciemną potęgę, tajemniczą siłę instynktu złego i dobrego, która człowieka mimo jego wiedzy i woli do czynów pobudza. To jest dzieło prawdziwej sztuki, bo ma cały oddzielny świat w sobie. Tołstoj umie znaleźć duszę, tę pierwotną duszę pod siermięgą i barwną koszulą rosyjskiego muzyka. A w tej duszy rozgrywa się odwieczna walka Arimana z Ormuzdem, walka czarnego i białego boga. Bóg czarny zrazu zwycięża — bo też potężnych ma sprzymierzeńców. Walczą po jego stronie wszystkie żądze i nędza i ciemnota. Ale tryumf jego tylko w słabej duszy zupełny — tylko kobiety mu całkowicie ulegają, bo to niewolnice z urodzenia, które przepotężnemu pierwiastkowi złego nie umieją i nie mogą przeciwstawić wyzwolonej i mimo wszystko ku dobremu skłonnej natury ludzkiej. Mężczyzna potrzebuje tylko chwili, w której zrozumie, że „ludzi bać się nie trzeba“, w której się poczuje wolnym i przed sobą i Bogiem tylko odpowiedzialnym człowiekiem — aby zwalić ze siebie ciężką zmorę zła.

Spowiedź Nikity, który bije czołem o ziemię i z dumnym bohaterstwem oskarża się przed ludem, to owo ostateczne zwycięstwo dobrych sił duszy. Najpotężniejsza to i psychologicznie najgłębsza scena w całym dramacie. Tolstoj jest filozof i to jest szczyt jego filozofii. W szczegóły dramatu wdawać się tu nie mogę, choć mnóstwo między nimi rzeczy o olbrzymiej głębi psychologicznej. We wszystkich jednak jedno i to samo: z różnych stron oświetlona i w rozmaitych stadyach pokazana walka złego i dobrego. W technice — obok wielkich zalet — można się i wad pewnych dopatrzeć. Jako najważniejszą z nich wymienilibym wielomówność niektórych osób dramatu, które bez widocznej psychologicznej konieczności na życzenie autora wygłaszają — leżąc na piecu lub w słomie — całe dysertacje filozoficzne.

Z artystów Roman w tej sztuce zasłużył na palmę pierwszeństwa. W początkowych scenach raziła u niego nieco nienaturalność wymowy — w późniejszych za to był doskonały. Zwłaszcza końcową scenę spowiedzi odegrał świetnie. Całą duszą artysty wżył się w niej w duszę wyzwolonego Nikity. W drugim rzędzie podnieść należy grę Solskiego, Przybyłowicza, Jutkiewiczówny, a nadewszystko Senowskiej. Anisja należy do najszcześniejszych kreacji tej aktorki. Dobrze grali również: Czechowska, Wojnowska i Węgrzyn, który jeno zanadto realistycznie przeciągał się i ryczał.

(*J. St.*) *Sen srebrny Salomei*. Dramat J. Słowackiego w 9 odsłonach. Podręczniki literatury zapewniają, że Słowacki jest wielkim poetą; fanatyczni wielbiciele wysuwają go na czoło poezji naszej, ale wielki ogół nie zna go — i pozostaje obojętny. Nietylko dlatego, iż poeta zbyt daleko od ludu swego duchem wybiega — ale i stąd także, że Słowackiego pokochać, całą głęb jego geniuszu odczuć i rozplomienić się nią można tylko w teatrze. Łatwo jest poecie tej miary rozśpiewać się hymnem miłosnym takim, jak „W Szwajcaryi“, zapłakać smutkiem rzewnym w „Hymnie o zachodzie słońca“, lub najświętszym marzeniom dać śnieżno białą szatę w „Anhellim“. Ale podnieść światy umarłe i prochem kurhanów zasypać, szalone niegdyś do rozpasania — jeszcze rozszaleń, krwawe — okrwawić, rozmodlone — uświęcić; rozsądzić dla nich deski kulisów i na potoki słowa cudnego je rozmiękczyć — tem dopiero jest dramat Słowackiego. Krytyka twierdzi, że „*Sen srebrny Salomei*“ jest jednym ze słabych dzieł Słowackiego, mistycy słusznie ponoć dopatrują się symboli, alegoryj, proroczeń i przez krew tego życia, która tam huczy, chcą przejrzeć mgłę śmierci. Jedni i drudzy zapewne mają rację. Ale widz, który nie szuka klasyfikacji i łaknie wrażenia, który czuje dość żywo, aby nie ćwiartować dzieła mistycznym zaciekawieniem — ma przed sobą tylko cudowny, niewysłowienie bogaty obraz, utkany fantazją przepotęzną, szaloną, krwistą, namiętą jednakowo w modlitwie, w rzezi czy miłości. A kto wtedy wad w dziele szuka — biedny!

I takie wrażenie wywiera dramat Słowackiego w obsadzie, którą na krakowskiej scenie mu dano. Za Salusią miał p. Bednarzewską. Ośmiozgłoskowy wiersz przywiódł p. Bednarzewskiej na pamięć „*Zaczarowane koło*“ Rydla (biedna!) — to też scenę z Leonem wygłosiła (wygłosiła nie grała) głosikiem pożyczonym z Tryoletów Wojewodzianki. P. Bednarzewska z całej prześlicznej swej roli nie wydobyła ani jednego

akcentu, ani jednego dreszczu — nic, nic. Godnie sekundował jej pan Sobiesław. Grał z pogardą. Że pogardza publicznością, która raz dała mu okłaski — to słuszną, ale za cóż pogarda dla Słowackiego, dla arcydzieła? W p. Sobiesławie nie było znać ani krzty zrozumienia swej roli i pracy nad nią. Pani Siennicka i p. Tarasiewicz na szczęście nie dostroili się do poprzedniej pary. Na grę p. Tarasiewicza nie zawsze można się zgodzić, ale we wszystkim, co mówi, czuć talent i czuć pracę i obmyślenie roli; pani Siennicka była doskonała i trudną swą rolę doskonale utrzymała w tonie. Nad wszystkich jednak wyróżniał się pan Mielewski: rola Semenki leży zupełnie w zakresie jego talentu i niekorzystne jego warunki sceniczne mniej tu rażą. Scena na sądzie regimentarskim w takim wykonaniu na długo wbija się w pamięć; szkoda, że reżyserja w tym miejscu ogromnie szwankuje. Wogóle wszystkie masowe sceny chybiały wrażenia. Więcej statystów tu trzeba, więcej ruchu i więcej życia.



SPRAWOZDANIA.

Wydawnictwa Bronisława Natanson.

Księgarstwo nasze wchodzi w nową dobę. Dawne bezplanowe kampanie wydawnicze znikają, powstają nakłady w których znać myśl przewodnią i gdzie rachuba zysku nie przygłusza względów na pożytek społeczny. A że na tę drogę wchodzi firmy nakładowe takie jak np. Altenberg we Lwowie („Wiedza i Życie“) i St. Dembe w Warszawie, które liczyć się muszą z finansową stroną przedsiębiorstwa — to świadczy, że i poziom naszego czytelnictwa stale się podnosi. Podnosi i rozszerza, bo ogólna na całym rynku niżka cen książkowych coraz większemu ogółowi udostępnia.

Wydawnictwa Bronisława Natanson, których garść leży przed nami, to nie szereg luźno zebranych książek, ale świadoma, obmyślana naprzód działalność społeczna, ożywiona jedną przewodnią myślą; wydawnictwa te ogarniają cały zakres umysłowości ludzkiej, od utworów beletrystycznych do dzieł ściśle naukowych, jak „Zasady psychologii fizyologicznej“ prof. Ziehena.

Trzy tomy Żeromskiego „Opowiadania“ (wydanie drugie) i „Ludzie bezdomni“; nowele Daniłowskiego „Nego“ — prócz kilku dzieł tłumaczonych — reprezentują dotychczas beletrystykę. Sylwetkę Żeromskiego umieściła przed rokiem „Krytyka“ w szeregu artykułów o „Młodej Polsce“. Nowa powieść „Ludzie bezdomni“ nie dorzuca więcej rysów i nie zmienia cech, które wtedy podkreśliliśmy. W prasie warszawskiej powieść ta obudziła żywe polemiki i zacięte kłótnie — były to jednak swary zaścianka, antagonizmy polityczne i moralne raczej, niż spory estetyczne. Naszem zdaniem, „Ludzie bezdomni“ nie należą do najlepszych dzieł Żeromskiego. Żeromski jest przede wszystkim nowelistą; jedna chwila, jeden dreszcz jest u niego zawsze oddany przepysznie, ale rozwój toku powieściowego, ewolucja charakterów wymyka mu się z ręki. I jeszcze jedno. Jego zmysł artystyczny, jego zdolność przenikania aż do głębi rzeczy jest tak wielka, iż poprostu wycieńcza autora, który po ustępach wspaniałych zdaje się zamykać oczy i długie stronicie pisze

jakby od niechcenia. Takich nierówności w „Ludziach bezdomnych“ pełno. Rozbicie powieści na poszczególne obrazy, którym brak pozornie wiązania, — np. wprowadzenie całej rodziny brata Judymowego — jest bardzo szczęśliwym pomysłem artystycznym, którego jednak Żeromski nie wykorzystał dostatecznie.

Nowele Daniłowskiego „Nego“ posiadają wszystkie cechy Żeromskiego, prócz jego olbrzymiego talentu. Autor należy do opętańców moralnych, których całe życie wewnętrzne pochłonięte jest bólem nad niezgodnością Życia i Ideału. Ten charakterystyczny bolesny typ twórczości wyrasta pod działaniem warunków, w jakich się żyje pod zaborem rosyjskim, pod wpływem literatury rosyjskiej, którą zagarnął dla siebie niepodzielnie; zachwyca, jeśli dosięga mocy i potęgi; skoro słabszy — drażni i nuży. Trzeba być silnym, aby móżdż się skarżyć. W nowelach Daniłowskiego tej siły nie znać; reminiscencyj: pełno to z Sienkiewicza („Nego“), to z Prusa („Chory Pan“), to z Żeromskiego, wśród których indywidualność autora nie śmie się rozkiełzać. Dużo też młodzieńczej naiwności — tej osobście nie znoszę — z której jak najprędzej otrząsnąć się trzeba.

„Djabeł w Poezyi“ Ignacego Matuszewskego jest jedną z najlepszych książek tego autora. Gdziekolwiek w literaturze świata występuje postać Szatana, Matuszewski natychmiast zarejestrował i opisał jego osobę. Jeśli chcemy w krytyce mieć psychologię rasy czy artysty, lub pragniemy poznać krytyka, aby myśleć z nim uczennie i pięknie — nie znajdziemy tego w studium Matuszewskego. Jest to typowa książka o książkach, — ale

niezaprzeczona erudycja daje jej wartość dokumentu.

Serya *życiorysów znakomitych ludzi* objęła dotąd życiorysy Kazimierza Wielkiego przez J. K. Kochanowskiego, Karola Darwina i Jana Jakóba Rousseau przez Haralda Höffdinga (przekłady), św. Franciszka przez prof. Porębowicza. Niedługo ukazać się ma dalszy ciąg: Spinoza, Ibsen, Savonarola. Serya takich życiorysów była bardzo potrzebna: jest to doskonała, pouczająca i pobudzająca lektura dla młodzieży. Nie mówiąc już o zachodnich, literatura rosyjska od lat kilkunasta posiada ogromny, wciąż rosnący szereg biografij, wydawanych przez petersburską firmę Pawlenkowa. W ostatnich czasach i u nas wzmógł się ruch na tem polu. Prócz seryi międzynarodowej, wydawanej przez Bronisława Natansoną, firma Grendyszyńskiego w Petersburgu rozpoczęła wydawnictwo „Życiorysów znakomitych Polaków“. Niestety nie wszystkie życiorysy tam zamieszczone odpowiadają wymaganiom, które takiemu wydawnictwu stawiać można i należy.

Czemś prawie nowem w dziedzinie wydawniczej u nas są krótkie broszurki i rozprawki etycznej i społecznej treści, jak np. „Sumienie“ prof. Oppenheima i „Znaczenie opinii publicznej w życiu państwowem“ Holtzendorffa; krótkie i zwięzłe wyjaśnienia takich spraw i zjawisk, o których przeciętnie tem mniej się wie, im więcej jest się przekonany, że się wie wszystko — było bardzo na czasie. Brak życia publicznego w prawdziwym znaczeniu tego słowa zaciemnił u nas podstawowe fakty i warunki, na których życie społeczne się opiera.

J. St.

POEZJE

Jerzego Żuławskiego



Na strunach duszy

(Kraków 1895) Cena 3 korony.

Intermezzo

(Kraków 1897) Cena 2 korony.

Stance o pieśni

(wydane bezimiennie)

(Kraków 1897) Cena 1 korona.

Poezje, tom II.

(Warszawa 1900, nakł. Gebeth.
i Wolffa) Cena 2 kor. 60 hal.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. _____



PRENUMERATORZY »KRYTYKI« NABYWAĆ MOGĄ W ADMINISTRACYI PO ZNIŻONEJ CENIE NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

Z. WALCZEWSKI: »ZAGADNIENIA SOCYALIZMU«, zamiast 2 korony 40 hal. za 1 koronę 20 hal.

J. MASKOFF: »TAMTEN«, zamiast 2 kor. za 1 kdr.

JAN STEN: »POEZYJE«, zamiast 1 kor. 20 hal. za 60 hal.

JERZY ŻUŁAWSKI: »NA STRUNACH DUSZY«, zamiast 3 kor. za 2 kor.

„

»INTERMEZZO«, zam. 2 kor.
za 1 kor. 20 hal.

• „

»STANCE O PIEŚNI«, zamiast
1 kor. za 60 hal.

Wyszło z druku:

JAN STEN

JEDEN MIESIAC

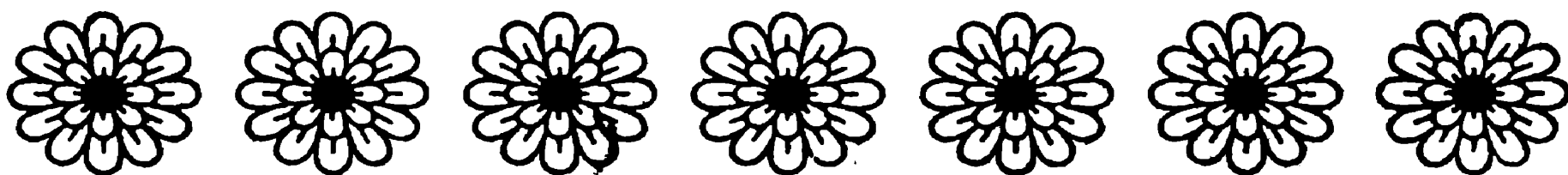
ŻYCIA

Utwory prozą: JEDEN MIESIAC ŻYCIA. HAMLET. PRZYSIĘGLY.
W PEŁNEM SŁOŃCU. PIERWSZY WIERSZ. TRZY
DUSZE

Skład główny: Gebethner i Ska.

Nabywać można we wszystkich
księgarniach - - - -

Cena 1 złr. 20 ct.



W ciągu miesiąca Kwietnia b. r.
nakładem wydawnictwa „Krytyki”

opuści prasę książka:

ETYKA

LUDWIKA

FEUERBACHA

Dra Stanisława Garskiego

Prenumerotorzy naszego pisma nabywać ją
będą mogli za połowę ceny. - - - -

